

N<sup>o</sup> 5000.

KATOLICYZM A REFORMA.

APPROBATUR.

Vilnae die 25 Februarii 1904 anno.  
Administrator Apostolicus Camerarius  
Suae Sanctitatis  
Canonicus **V. Frąckiewicz.**

№ 660.

ОДОБРЕНО.

Г. Вильно Февраля 25 дня 1904 года.  
Секретарь Вильн. Кат. Епарх. Управления  
Каноникъ **Садовскій.**

Ks. Feliks Mieszkiś.

---



# KATOLICYZM A REFORMA.

STUDYUM RELIGIJNO-SPOŁECZNE.



WARSZAWA.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Nowy-Świat 41.

—  
1904.

## Zbiory specjalne



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0439676

Дозволено Цензурою  
Варшава, 1 Июня 1904 г.



„Tak zwany modernizm przyszedł do nas z zachodu i przyszedł tak, jak ongi romantyzm. Przyszedł obcy, kosmpolityczny, zbłąkany, oderwany od czasu i przestrzeni. Szukał, błędził, szedł, wracał, nie znalazł jeszcze swego człowieka. Dusze jałowe, nie mające wewnątrz siebie nic, żadnych ziarn, żadnych plemników, chwytaly jego cechy czysto zewnętrzne i zamieniały na chwilowy rozgłos, na estetyczną awanturę, na płatne dziwactwo“ — pisze Niemojewski w studjum o Wyspiańskim.

Modernizm, pochodzący nie z ducha i usposobienia narodu, u nas się przyjął, jak egzotyczna roślina. W podniesionej temperaturze cieplarni rozrosły się fantastyczne irysy, mistyczne zwoje kwiatów o cudacznych barwach i dziwnych kształtach. Powiadamy, — te rośliny u nas się zaaklimatyzowały, lubimy bo szyk, rozgłos i błagę. Lubimy pięknie ociosane frazesy, lubimy szumnobrzmiące

K-119/75/51047

P

hasła, oczywiście w stylu „moderne“, — tak bowiem każe moda, zwyczaj.

„Szydę zawsze, przyznaje się Niemojewski, gdy widzę nieszczerść, gdy widzę oblaną łzami komedię, targowisko przybrane w szaty kapłaństwa“. I mnie również śmiać się chce, kiedy widzę muzy Parnasu w roli subretek, literaturę i sztukę na posługach motłochu, zgięte karki synów Apollina przed boginią mody i próżności; a łza się kręci w oku, kiedy widzę sługi ołtarza pod sztandarem haseł nowoczesnych, kiedy słyszę z jednej strony głosy powołanych czy niepowołanych reformatorów kościoła z różnych obozów, a z drugiej wściekle ujadanie oponentów, złość, kapiącą od insynuacyj i subiektywnych wybiegów; kiedy czuję całą nierozwagę i nierozum przyjaciół nowego autamentu, którzy, uzbrojeni tylko w liche narzędzia majstrów mularskich, podjęli się odnowienia olbrzymiej a „rysującej się“ budowy Kościoła.

Wieki minione, powiadają, nałożyły swą druzgocącą dłoń na odwieczne mury świątyni Chrystusowej, pokryły je chwastem naleciałości i mchem odrętwienia, trzeba więc gruntownej restauracji, inaczej bo pozostaną gruzy.

Płonne obawy i nieuzasadniona troskliwość!

Kościół przetrwał blisko 20 wieków,

przetrwa jeszcze chociażby miliony lat i nic nie straci ze swej żywotności.

Hansjakob, dumając nad zwaliskami Kanosy, wysnuł kilka pięknych myśli, — oto jedna z nich<sup>1)</sup>: „Przemknął cały szereg stuleci, powiada on, od walki Henryka z Grzegorzem, narody i państwa się zmieniły, ruiny wzniosły się nad ruinami, sama Kanosa dawno leży w gruzach. Nowe państwa powstały i znikły, narody zabłysły w dziejach historii i znowu zgasły. Cesarstwo niemieckie było pogrzebane i znowu zmartwychwstało, potężna republika Wenecka ze swemi niemniej potężnemi współzawodnicami, stary dom królów we Francyi, dwa razy cesarstwo z tamtej strony Renu — znikły bez śladu; we Włoszech panowały dynastye bez liku i przemieły.

Od tego czasu Europa dwa razy zmieniała swą mapę, wieki średnie oddawna zagrzebane, i nowe światy się znalazły. A co tylko pozostało niewzruszone, niezachwiane, mimo nawałnic, walk i rewolucyj, które to wywoływały powyższe zmiany? Jedno pozostało — to Kościół i papieństwo, mimo że obydwa byli osiłą wszystkich walk i rewolucyj... Kościół stracił swą siłę zewnętrzną, stracił wpływ polityczny na

<sup>1)</sup> In Italien t. I, str. 252.

panujących i narody, ale nigdy nie przestał istnieć, ale się nie zmienił; dookoła zaś państwa różnorodne pod względem kształtu i rządu zjawiały się i nikły. To jest wspaniałe i cudowne!!“

Słusznie Dante mówi:

...questo uno

E tal che gli altri (miracoli) non sono il centesimo  
(*Pd. XXIV, 106*)

— ten jeden cud wart stu.

Cudem się utrzymuje Kościół, i kto w cuda nie wierzy, ten się tylko obawia o przyszłe jego losy.

Zgoda na trwałość — powiadają — ale Kościół stracił swój wpływ na ludzkość, ale życie płynie odmiennem korytem i nie da się zamknąć w formułkowe ramy sofizmatów i hipotez, ma bo swoje prawa i byt samoistny.

Powiadają jeszcze wiele czego, a wniosek ogólny — potrzeba naprawy, reformy.

Rzecz każda ma dwie strony. Modernizm należycie odczuty i zrozumiany może mieć poważniejsze stanowisko w świecie obecnym, tak też i częste, nawet i u nas nawoływania do reformy, protesta w imię wolności uczuć i sumienia, w imię sprawiedliwości i prawdy — mają czasami głębsze podstawy, niż warcholstwo, niż chęć popisu. Lekceważyć przeto nimi nie należy.

Przysłuchajmy się tym głosom nieco bliżej.

Ogólny prąd wiedzy i postępu porwał umysły ludzkie i zajął naczelne miejsce w życiu społecznym. Więcej światła, nauki — trąbią na wsze strony; wiedza przedewszystkiem, potem wiara, potem religia. Świat się zmienił, ze świątyni rozumu snopy światła rozproszyły ciemności, zdemaskowały zakapturzony scholastycezm. Skalpel czystej nauki skruszył łupinę wiekowej tradycji, podał światu kwintesencję wierzeń, zwerifikowaną podług ostatniej recepty mecenasów nauki, zgodnie z najnowszymi przepisami myśli. Wszystko dziś staje przed trybuną opinii publicznej, stają zagadnienia ducha ludzkiego, stają „objekty wierzeń, dogmaty i tradycje“.

Kościół w swym pochodzie dziejowym, krocząc zwycięzko przez wieki i narody, widział niemało dobrego i złego, zobaczył też teraz najnowszą... stultitiam saeculi.

Być może, — powie niejeden wielbiciel postępu i czystego rozumu; ale czyż Kościół dziś odpowiada swemu zadaniu, czyż nie czujemy rozdźwięku między życiem a zasadami Kościoła, czyż ta instytucja Boża może się godzić z postępem ludzkości, kiedy żyje i oddycha tylko przeszłością, ideałami zagrzebanej kultury. Niewątpliwie — powiada — Kościół

był jedyną potęgą w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej, zbawczo wpływał na wieki średnie, podniósł kulturę do szczytu, uszlachetnił sztukę i poezję, teokracja papieży dzierżyła w swem ręku nie tylko państwo kościelne, ale i politykę całej Europy; teraz zaś warunki polityczne i ekonomiczne się zmieniły, żeby wywierać wpływ na ludzkość, Kościół powinien się otrząsnąć z naleciałości, nagiąć się do stanu obecnego rzeczy — słowem, „zmodernizować się“.

Niegdyś — słyszymy inną piosnkę w tonie już minorowym — wiara mogła tworzyć dzieła nieśmiertelne, oskrzydlać geniusze, dać im polot orła i głos słowiczy, mogła całe zastępy zginać u stóp krzyża, wydawać ludzi bohaterów i cnoty heroiczne; dzisiaj skarłowaciały dusze opadły skrzydła, pierś się wkleśła niezdolna do szerszego oddechu; wiara dziecięca pierwotna przeniosła się teraz w sferę mytów pocziwej przeszłości.

Niegdyś Dante w uznaniu znikomości szczęścia na ziemi, próżności zabiegów ludzkich, błędząc w pozaświatach w pościgu utraconych ideałów, znalazł je tam, gdzie wieczna radość i w wizjach nadziemskich bezgranicznego szczęścia, wołał w uniesieniu:

O gioia,<sup>1</sup> o ineffabile allegrezza!

O vita intera d'amore et di pace!

O senza brama sicura ricchezza! (Pd. XXXII, 7).

I dzisiaj także dusza ludzka

...burzą tęsknoty porwana  
I uniesiona przez wieków podmuchy  
W wiecznej pogoni za widmem znikomem...  
I wiecznie pragnie i wiecznie się smuci  
I tak się trawi jak płomień skrzydlaty...

ale nigdzie nie znajduje ukojenia, bo

„Patrząc na niebo co nigdy nie dnieje,  
„Straciwszy wiarę, straciła nadzieję“<sup>1)</sup>.

Dzisiaj, powiadają, w wieku realności, gorączkowego postępu, wybujałej kultury, Kościół z wiarą bezwzględną, z nauką o dogmatach brzmi jakoś dziwnie, jak anachronizm czasów zamierzchłych, przysypanych prochem zapomnienia. „Schłopiały katolicyzm“ na tle nauki i przerafinowanej cywilizacji odbija się zbyt rążaco, powinien się więc przedzić, wyrzec się śmiesznej roli Don Kiszota o pordzewiałej średniowiecznej broni, zmienić ją na broń najlepszą, by stawić godnie czoło zdobyciom wiedzy i nauki.

Wobec tych głosów postępowych, liberalnych i nie wiem jeszcze jakich, nasuują się pytania: cóż to jest reforma, co ma Kościół z nią wspólnego? —

<sup>1)</sup> W powyższych fragmentach Konopnickiej i Asnyka pozwoliłem sobie pewną zmianę.

W tak ważnej kwestyi nie chcę, a zresztą i nie mogę decydować, odwołuję się więc do Kepplera <sup>1)</sup>, biskupa Rottenburgu — powagi w literaturze i świecie katolickim.

„Najprzód — powiada on — należy zadać pytanie, czy reforma Kościoła, katolicyzmu jest możliwa? Tak, ale reforma nie tego, co jest w nim Boskiego, a więc nie w dogmatach, naukach moralności, sakramentach i tego co prowadzi do zbawienia, nie w organizacyi wreszcie, ale w tem, co jest ludzkie, w charakterze życia katolików. Powtórę można zapytać, czy reforma jest konieczna? Widzimy tyle ran, tyle symptomów groźnych chorób, tyle wzdętych narośli na ciele katolicyzmu, musimy więc odpowiedzieć — tak, reforma jest konieczna. Wreszcie główne pytanie, jakie są oznaki prawdziwej reformy, na czem ona polega? Na to da się odpowiedzieć, jeśli się spojrzy z punktu li tylko faktycznego, jak najdalej od teoretycznych i subiektywnych względów“.

To też odpowiedzmy z kolei na te pytania. Uprzedzam tylko, że czytelnik nie znajdzie w tej pracy wyczerpującej odpowiedzi, całkowitego wykazania cech prawdziwej reformy; przedewszystkiem się postaram wykazać etycz-

ną i psychologiczną fizyognomię tego społeczeństwa, o reformę którego szczególnie chodzić winno. Możliwa zaś odpowiedź na trzecie pytanie Kepplera nie da się zamknąć w jednej określonej części, przeto będę usiłował uwydatniać ją w toku opowiadania.

<sup>1)</sup> Die Wahre und falsche Reform, str. 4.





## I.

„Reforma prawdziwa — mówi Keppler — jest zawsze reformą od gruntu, z wewnątrz na zewnątrz, nie zaś odwrotnie. Gdy mamy jaką rzecz reformować, zwróćmy uwagę na jej pierwiastek, źródło, uchwyćmy samą istotę rzeczy i badajmy, czy rozwój i wzrost danego przedmiotu jest normalny, stosownie do swej istoty. Gdy chcemy reformować Kościół i katolicyzm, należy się zwrócić do ich Boskiego początku i badać, czy ludzki pierwiastek w swym rozwoju jest ustosunkowany do Boskiego, czy jest z nim w doskonałej harmonii<sup>1)</sup>“.

Autor wspomina tylko pierwiastek ludzki; wymaga, by ten ostatni był w doskonałej harmonii, ścisłej łączności z pierwiastkiem Boskim, i a priori stawia pewnik, że pierwiastek Boski jest stały,

<sup>1)</sup> Ibidem, str. 5.

niezmienny, ludzki zaś, jako zmienny do niego stosować się musi.

Krytyczne przeto badania w religii naszej Boskiego pierwiastku, jako pochodzącego od Tego, który ani się mylić, ani kogoś w błąd wprowadzić nie może — trąci zuchwalstwem, herezyą chęć w tym względzie reformy.

„Religia katolicka, mówi Hertling, nie jest to religia, zadawalniająca subiektywne zachcianki i widzimisie; posiada ona obiektywną, stałą, niezachwianą naukę, obejmuje w sobie cały system prawd, które dają rozwiązanie najzawilszych i najważniejszych zagadnień, sięgających nieskończenia wyżej ponad poziom naszej niedołęznej klatki mózgowej“<sup>1)</sup>. Całokształt prawd złożonych w kościele, nie jest bynajmniej utworzony, usystematyzowany przez jakąś szkołę filozofów, siłą ludzkiej intuicji — nie, Bóg je raczył nam dać w swem Objawieniu i nakazał wierzyć. Więc wiara w Objawienie jest zgóry zastrzeżona, i naukowe dociekania o tyle tylko są stosowne, o ile rozum nie pocznie się rozmijać z wiarą. Mówię — rozmijać się, nie dlatego, żeby w rzeczy samej nauka mogła coś wynaleźć, coby się nie zgadzało z nauką objawioną, ale dlate-

<sup>1)</sup> Das Prinzip des Katholicismus und die Wissenschaft st. 11.

go, że pyszny a słaby rozum ludzki może łatwo się potknąć, przekroczyć granice mu zakreślone i oczywiście zbłądzić. „Dla nas katolików, powiada wyżej cytowany Hertling, prawda religii to nie jest coś przez się wykrytego, odczutego, ale wprost rzecz darowana, którą to prawdę należy przyjąć bezwzględnie, aby z nią pod wpływem łaski nadnaturalnej człowiek nie umarł, ale żył; jest ona przeto co do swej istoty jednakową dla wszystkich, uczonych i prostaków, dla skończonego teologa i ubogiej chłopki“<sup>1)</sup>.

Ztąd wynika, że to co jest w Kościele Boskiego nie podlegało nigdy i podlegać nie może żadnej zmianie, żadnej reformie; co było w nim od początku, w co wierzone w pierwszych wiekach, w to wierzymy i teraz. Jeśli zaś powstają nowe dogmaty, to nie znaczy, że wiara się rozwija, postępuje i narzuca nowe wierzenia ludzkości, ale że to, co było przedmiotem wiary ubiegłych pokoleń, to w danej chwili dla pewnych racyj jest ogłoszone, jako nieodwołalna prawda, przewyższająca często rozum ludzki, ale niewątpliwa zawsze, bo Boska. Prawda objawiona ani się rozwija, ani się zmniejsza, całe wieki trwa ona nieskażoną; herezyje, odszczepieństwa nauce Kościoła nie za-

<sup>1)</sup> Ibid.

szkodziły, oczyściły go tylko od niezdrowych elementów, naleciałości, utkanych z pychy i zbuntowanego rozumu wyrodnych swych synów, czyniąc go jeszcze świetniejszym, jeszcze wspanialszym w swej pierwotnej prawdzie.

W kościele więc, jako instytucji Bożej, żadnych zmian wprowadzić niepodobna. Ale Kościół się składa z ludzi, a ludzie się zmieniają: raz odpowiadają całkowicie włożonemu na się przez Kościół zadaniu, to znowu rozwijają się z zasadami przezeń głoszonymi. Jeżeli więc człowiek rozminął się ze swoim zadaniem, stracił z oczu wzniosłe ideały religii i żyje nie podług zasad tejże religii, należy mu je przypomnieć, wskazać, naprawić, zreformować. To jest reforma w najwłaściwszem tego słowa znaczeniu, ona też oddawna praktykowaną była, jej się domagali wszyscy papieże, wszyscy święci i wielcy ludzie w Kościele. W trudnych chwilach dla katolicyzmu Bóg wzbudzał ludzi pełnych ognia i ofiary; mieli oni naprawiać, co się zepsuło, wlać nowy ożywczy duch w zmęczoną, apatyczną brać. Tak powstał Grzegorz, Innocentowie, tak reformatorskie zakony ze św. Dominikiem, Ignacym, Franciszkiem z Asyżu, tym największym reformatorem w myśl Kościoła. Zadaniem ich było od-



nowić ludzkość, wskazać zapomniane ideały w życiu, wskrziesić szczęście na ziemi.

Dante, ów kolos poezji wszechświatowej, wielki reformator w świecie katolickim, przecudnie wyśpiewał swoje odrodzenie, reformę samego siebie. Jeszcze w początkach życia, w latach pachołecych miał piękne ideały, pałał miłością do Beatryczy; ona mu prędko znikła, zgasły więc szlachetne porywy wtedy on pokochał inne ideały, raczej żył bez ideałów. Ale „ona“ czuwała nad nim, i kiedy nie pomagały natchnienia i łaski, przeprowadziła go przez czeluście piekła, pokazując mękę potępieńców. Wzruszony, ze skruchą w sercu staje przed nią na krańcach czyśca, gdzie ona mu jeszcze bez litości wyrzuciła sprzeniewierzenie się:

E volse i passi per via non vera,  
Imagini di ben sequendo false,  
Che nulla promission reddono intera <sup>1)</sup>.

(Prg. XXX. 110—3).

On zaś uznaje swą winę i w pokorze serca mówi:

<sup>1)</sup> Na krzywą drogę zaraz krok swój podaj;  
Dróg do doczesnych wabią złudne cienie  
I obietnice, którym wierzyć szkoda.

Le presenti cose  
Col falso lor piacer volser mei passi  
Tosto, che il vostro viso si nascose

(Prg. XXI, 34).

— nie dziw się temu, ja bo wiem, że skoro ty ukryjesz swe oblicze, mój ideał, światło nadziemskie, nauko Chrystusa, skoro przestaniesz napominać, naprawiać, zaraz grzęznę w rzeczach doczesnych, zaraz upadam.

Przeszedł więc on piekło udręczeń, czyściec żalu i skruchy, a odrodzony i przemieniony znalazł się w przybytku chwały. Co za wspaniała reforma!

I Kościół w pochodzie swoim również znaczył drogę reformą, naprawianiem złego. Stał on, to dziecko jeszcze, wśród pogaństwa, wśród zepsutego dworu cesarów rzymskich, wśród rozbestwionej hultajskiej tłuszczy, wśród igrzysk i zapasów cyrkowych, i oto zmieniają się obyczaje, zmieniają się ludzie i narody. „Kościół był świadkiem współczesnym najwyższego rozkwitu monarchii Rzymskiej, przed jego oczyma przesuwały się orły cesarów od Renu do Nilu, od Danuby do Eufratesa. I oto, olbrzymie państwo całego świata znikło, i legiony jego śpią snem martwych w niezmiernych przestworzach historyi ludzkiej, a Kościół żyje i pracuje w służbie najwyższej duchowej kultury dale-

ko poza granicami cesarstwa Rzymskiego.

Kościół katolicki stał się hordom pielgrzymującym ze wschodu jedyną potęgą, którą spotkały w swym zwyciężkim pochodzie; prowadził on dzikie plemiona, wylaniające się z ogólnego chaosu do godności narodu, do wyżyn chrześcijańskiej kultury, która wydała tyle monumentalnych dowodów swej żywotności. I oto, wieki średnie z ich politycznymi działaczami zeszyły z widowni historyi, narody znikły w tychże bezmiernych przestrzeniach, gdzie się rozwiały Rzym i Hellada z ich potęgami. A Kościół w tej ogólnej niestałości mimo ścisłej łączności z wiekami średnimi pozostał nietknięty w swej wewnętrznej świętości i okazał się nieśmiertelnym w wielkiej walce ze spoganiąłym humanizmem i fałszywą reformą, którą rozpoczęły czasy nowe.

Wieki nowe przyniosły też nowe ideały, nowe życie zakwitło w północnych krajach. Z ideałami prawdziwymi, które uznaje i Kościół, w życie się wdarły i ideały przewrotne, palące nienawiścią do religii katolickiej, szukające środków zadania jej ciosu śmiertelnego. A Kościół idzie wciąż dalej przez narody nowożytny, ogarniając

wszystkich tylko miłością, lecząc rany, zadane pogaństwem naszych czasów <sup>1)</sup>“.

Morze dziejowe, raz spokojne, lazurowe, piękne harmonią i ciszą odbijało błękit nieba i odwieczne mury, osiadłe na granitowej opoce, to znowu wzburzone i groźne słało z hukiem i poświstem spienione bałwany, szturmem darło się na skały, czepiało się ścian, w bezsilnym gniewie ustępowało rozdzierane i szarpane o ostre kamienie, gotowe do nowego ataku. Fale pięły się dalej, wyprzedzały się nawzajem, aż nikły w bezmiarach morskich... Kościół stał niewzruszony, potężny, wielki.

\* \* \*

Wszelkie nawoływania do naprawy, wszelkie prądy reformatorskie wytwarzały się skutkiem pewnych przyczyn bądź historycznych, bądź etycznych, lub też zjawiały się same przez się o indywidualnem zabarwieniu czasów i osób.

Fatalna w skutki reformacja Lutra miała również swoje przyczyny, palny materiał gromadził się stopniowo. Ostatecznie wybuch nastąpił dlatego, że Kościół musiał się pozbyć balastu, który

<sup>1)</sup> Ehrhard, Der Katholicismus und das 20 Jahrhundert, str. 435.

ciążył i przeszkadzał w zwyczajnym pochodzie jego; jeszcze i dlatego, że od czasu, kiedy duch ludzki poczuł swą indywidualną samobytność, jako jednostki narodowej i politycznej, ujawniającą się w rozwoju języków ojczystych, literatury plemiennej, w formowaniu się państw i narodów bardziej odosobnionych, od czasu jak wspaniała wizya świętego Państwa Rzymskiego (tak wzniosłe opiewanej przez Dantego) zespolenia wszystkich ludzi w jedną nierozzerwalną całość pod zwierzchnictwem papieży, od czasu, powiadam, kiedy ta wyimaginowana a przepiękna zaziemska harmonia i jednolitością budowa pękła, od czasu wreszcie, kiedy powrotna fala klasycyzmu porwała umysły, odnawiając i wnosząc nowe pomysły, zarazem narzucając obok klasycznego piękna formy duch i obyczaj pogan, odtąd człowiek zaczął szukać nowych dróg; studia humaniora ośwładnęły umysłami, sztuka wydała takie samoistne talenta i twory, jak Michał Anioł, Rafael, jak Bramante i bazylika Św. Piotra, jak tury kolońskie i strasburskie; literatura narodowa poczęła się szybko rozwijać, zjawiając się style o charakterze bardziej nacyonalnym.

Na pozór możnaby sądzić, że wspomniany dodatni ruch humanizmu powstał właśnie dlatego, że duch ludzki się wy-

rwał z krepujących okowów dogmatyzmu, z więzów wolności i niepodległości. Bynajmniej; przyczyna była raczej historyczna, niż religijna. Nie będę się wdawał w szczegółowe badania historyi owych czasów, nadmienię tylko, że Kościół zawsze uznawał i uznaje prawdziwy postęp, przyjmuje prawdziwe ideały, zdobycze ducha i wiedzy ludzkiej, to też powiem nawiasem, i w czasach odrodzenia pielegnował i uszlachetniał sztuki wyzwolone, cieszył się z postępu swych dzieci, umiał natchnąć do czynów wielkich i dzieł nieśmiertelnych; sami duchowni brali może zbyt czynny udział w życiu odrodzenia, przy dworach biskupów i papieży gromadzili się artyści i literaci, a klasztorom należy zawdzięczać dzieła klasyków, przechowane do czasu, kiedy z pod tłoku drukarskiego rozeszły się w tysiącach egzemplarzy.

Więc Kościół uznawał i aprobował prawdziwe odrodzenie, bolał tylko nad tem, że w parze z niem szło, niestety, obniżenie wyższej kultury, przewaga materji nad duchem, powrót pogaństwa pod maską prawd Chrystusowych, bolał tembardziej, że owo obniżenie moralności znalazło się też wśród duchowieństwa.

W tym więc czasie anormalnych fermentacyj umysłowych zaczęły się nawią-

zywać nacie „reformacyi“. Potężny, zdumiewający majestat Kościoła przytłaczał swym ogromem zarzewie buntu cywilizującego się człowieka, który chciał już się wydobyć z pod opieki swej matki, puścić się na rozdroże myśli i czynów; ta iskra tłumiona wybuchła w swoim czasie wielką pożogą, co objęła pół świata. Pierwszym więc czynnikiem reformacyi był duch materyalizmu, pychy i namiętności.

Drugi był odmienny, o charakterze idealistycznym.

Kiedy nastąpiła zmiana w życiu i stosunkach katolików i zaznaczyły się pewne cechy ujemne wśród duchownych, śmielsze jednostki zaczęły powstawać w imię odrodzenia się duchowego, w imię reformy, jak np. Savonarola, którego niektórzy mylnie mają za współpracownika Lutera. Ale i wśród takich ludzi, jak florentyński kaznodzieja, często wybitną rolę grała próżność, duch buntu i niepodległości.

Ten podwójny czynnik — materyalny i idealistyczny daje się dostrzegać i w czasach obecnych. Do pierwszego należą ci, którymi kierują zmysły i pycha, ci się targają na sam Kościół, domagają się reformy *in capite et in membris*; drugim się rządzą, którzy wiedzą, że przedewszystkiem jest konieczne podniesienie moralności, cnoty, życia wy-

szego, wtedy bo i sam Kościół wyda się inny, wtedy się usuną te przypadkowe naleciałości czasu i ducha ludzkiego, powstałe na ciele katolicyzmu.

Ks. I. G. <sup>1)</sup> tak rozróżnia zwolenników modernizmu we współczesnem życiu Kościoła. „Jedni — powiada on — zachowują niezmiennie treść i ducha Kościoła w uświęconych tradycją i powagą wieków kształtach, chcą zaś tylko zmieniać, ulepszać, do obecnych wymagań zastosowywać zewnętrzne formy i środki działania. Drugi, przeciwnie, z rewolucyjną i heretycką bezwzględnością chcą burzyć cały gmach od podstaw dlatego, żeby ocalić od upadku dach i wieże. Oczywiście, niektóre pierwiastki są wspólne jednym i drugim; tylko u jednych wiara wyradza karność i miłość, podczas gdy u drugich zarozumiałość prowadzi do buntu i nienawiści. I dlatego nie godzi się katolikom sympatyzować z tymi, którzy stoją na odrębnym od najwyższej władzy gruncie, równocześnie jednak nie godzi się potępiać takich, którzy w myśl wskazówek i woli Stolicy św. starają się ukuć dla Kościoła nowe oręża i zdobyć dlań nowe pola działania...“ Nie godzi się bezwzględnie potępiać i zabijać wszelką myśl śmielszą, samobytną, choć może

<sup>1)</sup> Przegląd Katolicki, Nr. 1, 1904.

i nietrafną, wietrzyć herezyę tam, gdzie jej niema, upatrywać wylomu w murze prawa i karności kościelnej, gdzie może tylko jest nieogłędność, uniesienie się i próżność.

Reasumuję treść tego rozdziału w kilku słowach: reforma w znaczeniu właściwym, t. j. przede wszystkim podniesienie moralności ogółu, jest nietylko możliwa, ale i nader pożądana w Kościele.



## II.

Gdy naprawa złego jest możliwa, nic nie pozostaje, jeno naprawić — bo zło tolerowaniem być nie może. Ale czy jest to „zło“, czy istnieje ono w tak wielkich rozmiarach, by wymagało bezwłocznego naprawienia, reformy, jakiej się domagają.

Że zło jest na świecie, nie potrzeba chyba dowodzić, że przybrało ono wielkie, przerażające rozmiary, przekona chociażby tylko pobieżny, szkicowy rzut oka na stan moralny obecnego społeczeństwa. Nie nowy to temat, dużośmy słyszeli trenów Jeremiaszowych, dużośmy wypłakali łez krokodylich nad zgubioną ludzkością, więc nie będę nudził opisaniami rzeczy znanych, przypomnę tylko, co już powiedzieli inni.

Najprzód kwestya wiary. Wiadomo chyba, że ogół naszej inteligencji pod względem religii składa się z ludzi bądź całkiem niewierzących, a w stosunku do

religii biernych lub czynnych (oczywiście, w znaczeniu ujemnem), bądź z ludzi, którzy nie zrywają z religią, ale stawiają jej niemało zarzutów, porobiliby w niej pewne zmiany, reformy, usiłowałyby wywietrzyć z przestarzałych, średniowiecznych naleciałości, pchnąć je na nowe tory postępu i nauki; wreszcie ze szczupłej gartski tych, co zrozumieli wielkość tej religii, którą wyznają, a wyznając jej zasady, żyją według nich.

O pierwszych, t. j. ludziach bezwyznaniowych nie dużo mam do powiedzenia: z religią nic wspólnego oni nie mają i mieć nie chcą, mało o niej wiedzą, chyba to tylko, że tamuje postęp, zacieśnia umysł ludzki i t. d.; z miną koneserską nieraz puszczają pod adresem antagonistów z obozu zacofanych piękne epiteta, ukute w liberalnej kuźni nie tylko myśli, ale i słowa.

Pomijam ich tedy, a chcę mówić o drugich, stanowiących niejako rdzeń inteligencji. Czem jest dla nich religia? Ano, w najlepszym razie rzeczą odświętną, z którą się rzadko spotyka, a potem się chowa do pudła do nieprędkiego zobaczenia. Nie wypada jakoś, powiadają, zrywać z tem, z czem się żyło, pradiadowie nasi w naiwności swojej byli katolikami i podobno gorliwymi, a więc należy uszanować poglądy czasów za-

mierzchłych, uszanować tradycję; a zresztą co to szkodzi, żyjemy, jak nam się podoba, nie zaś według głupio skomponowanej formułki naiwnych...

Religia więc dla nich jest tradycją przodków, jak herby, stare sąbro i t. d. Pojęcie o niej mają arcysmutne, natomiast zawsze gotową garść zarzutów mniej lub więcej udatnych. Wobec tego, oczywiście, i mowy być nie może o wpływie religii na życie, o ścisłym stosunku, jaki zachodzi między jednym a drugim.

„Konsekwencją stanu religijnego polaków, mówi pewien bezimienny autor, że inteligencya czynna, ruchliwa o myśli rozbudzonej, a nie nauczona za młodu rozumnych zasad wiary, skłania się ku bezwyznaniowości, gdyż znieść nie może formy bez treści polskiego katolicyzmu, w którym upatruje obskurantyzm i zacofanie, ci zaś, którzy ani czasu, ani ochoty nie mają na polemiki religijne a dla których wiara jest raczej obyczajem narodowym, z którym się zżyli, ci u nas stanowią ciżbę rzekomo wierzących, konserwatystów z nawyknięcia. O jakież to słabe podwaliny życia religijnego 1)“.

Na takim religijnym podkładzie, na gruncie jałowym rosną badyle i chwa-

1) Jaka jest nasza wada narodowa główna str. 51.



sty spaczony moralności. Nie rozmiągając się z prawdą, można twierdzić, że cała nasza moralność, to blichtr, krępowanie się względem ludzkim, tem „nie wypada“, a w rzadkim razie względem religijnym, pozatem obszerne pole niskich instynktów, wyuzdanych żądz, podłości i zbrodni. Powiecie, że przesadzam; tak — przesadzam, nie wszyscy są takimi, są ludzie naturalnie dobrzy, jak są dobrzy poganie i żydzi, są jeszcze chlubne wyjątki z ogólnej reguły, ale ponieważ są wyjątkami, i ponieważ chodzi mi o wykazanie tylko złego, więc one nie wchodzi w rachubę.

Na zanik zmysłu moralnego, upadek cnót chrześcijańskich, obywatelskich, towarzyskich uskarżają się wszyscy. Hamletowskie „*something is rotten in the state of Denmark*“ — jest coś zgnilego, zepsutego w ustroju społecznym — stało się aksjomatem w ustach niejednego.

Giną ideały, powiadają, cnota się poniewiera, wzniosłe porywy dusz stykają się z filisterską ospałością poziomych istot, wszędzie zanik uczuć moralnych, brak idei podniosłych, walki o ideał, o prawdę. Miewamy wprawdzie niekiedy piękne porywy, wzloty w sferę ideałów, mówimy dużo o uszczęśliwieniu ludzkości, oświacie, umoralnieniu, nie przeszkadza to nam wszakże wyzyskać czyjaś łatwowierność, złamać los i przy-

szłość bliźniego — no, bo to inna rzecz mówić, a inna czynić. Ten to rozdźwięk między słowem a czynem, jest cechą specjalnie naszą, są u nas piękne mowy o poglądach ideowych, są arcyświeczne pomysły, a w parze idzie ugodowość, brak poświęcenia, szowinizm. „Pełno u nas orlich porywów, pisze Kalinka<sup>1)</sup>, zakończonych z żółwią ślamazarnością; wszystkie instytucje nasze nosiły piętno nadprzyrodzonej idealności, wykrzywionej potwornie przez sobokstwo, niesforność i próżniactwo“.

„U nas jest, powiada Bęczkowska<sup>2)</sup>, to dziwne przekształcanie, przeinaczanie wszystkiego według własnych potrzeb i zapatrywań. Pożyczyć z myślą nieoddania, to u nas nie nazywa się kradzieżą. Zdradzić żonę — to nie zdrada. Ja cię zawsze kocham, a że się zajmę inną, cóż ci to szkodzi? Żona odbiega od gniazda, od piskląt swoich... O, bo była bardzo nieszczęśliwa z mężem... Przyjaciel okradnie przyjaciela. No, poco miał więcej, niżeli ja. Sługa — pania... Albo mnie się „koszykowe“ za moją pracę nie należy? i tak dalej i dalej“.

Przejdę teraz do szczegółów, a najprzód do życia rodzinnego. Nie potrzeba chyba się wysilać, by przekonać, że

<sup>1)</sup> Na Golgotę, str. 32.

<sup>2)</sup> Anama vagans, str. 428.

małżeństwa dobrane, zgodne, szczęśliwe należą do wyjątków; widoki materyalne najczęściej kojarzą stadła małżeńskiej; bywają małżeństwa bez doboru charakterów, miłości i innych romansowych bredni, pełne awantur i scen, są jeszcze spokojne, bezbarwne, martwe, gdzie małżonkowie uzupełniają, jak mogą, tę pustkę we wzajemnym pożyciu.

Trafnie skreślił proceder małżeński znakomity powieściopisarz hiszpański, jezuita Coloma <sup>1)</sup>: „Przed rozpoczęciem trzydziestki on zdecydował się pożegnać życie hulaszczę — ożenić się. Kiedy on myślał skończyć, córka pramatki Ewy marzyła rozpocząć, bo w tej w klasie społecznej małżeństwo znaczy, że mężczyzna z niem kończy, kobieta rozpoczyna. On posiada niezbyt skomplikowane, niemniej jednak sympatyczne pojęcie o świecie i życiu. Pan Bóg — to stary poczciwy przyjaciel, z którym łatwo się porachować, który też całkiem jest zadowolony kiedy Go się odwiedzi od czasu do czasu w kościele, człowiek — to godny podziwu aparat trawiący; życie to wygodna i bardzo przyjemna podróż, kiedy żołądek i kieszeń wypchany; małżeństwo wreszcie, to połączenie dwóch fortun i jedyny prawny środek przysporzenia swemu rodowi nowych okazów, słowem

<sup>1)</sup> Pequeneces... Bilbao, str. 40,

coś na kształt hodowli byków paragwajskich i koni z Meklemburgu.

Ona posiada duszę, całkiem pozbawioną wszystkiego, naga. W swej moralnej nagości zda się drwić ze wstydu i posiadających to uczucie; nawet zachowanie pozorów jest dla niej przesądem, wstyd — obłuda, honor i sława — dziecinada; jeśli ktoś się odezwie z czemś wielkiem i wzniosłym, sprawi to wrażenie czegoś przerażającego, lub komicznego, jak koszula na Catewaya, zdetrozowanego króla zulusów kafrskich, подарowana mu przez anglików“.

Nie twierdzą, żeby ten brutalnie rzeczywisty obrazek miał być całkowicie zastosowany do nas, niemniej jednak mamy okazy bardzo pokrewne.

A młodzież — nadzieja, przyszłość, kwiat społeczeństwa?

Niestety „robak się lęgnie i w bujnym kwiecie“. Skromność, niewinność przeszła w sferę mytów i legend, zapał do życia, pracy, ofiary tli się w nielicznych jednostkach. Zblazowany, wyssany życiem i użyciem młodzian, wyemancypowana feministka — to cechy znamienne naszych czasów.

Młodzieniec ledwo przekroczył próg życia, a już się znużył, już przeżył. „Niemna w nim, powiada ks. Szlagowski <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Konferencye.

zapału młodości, nie dopatrzysz jakich ideałów, iskierki pragnień podniosłych — kropelki potrzeb duchowych. Jego ideały to karty, kieliszek, kobiety. Już się przeżył, zanim wszedł w życie. Zobaczmyż, w jaki sposób to się stało? Rzecz bardzo zwykła; zepsuta atmosfera życia rodzinnego zawczasu zatrwała rozwój delikatnej i wątłej roślinki, własny ojciec pchnął go tą drogą, którą sam kroczył, resztę dokonało doborowe towarzystwo. „Ani czci dla ojca, ani miłości dla matki. Z religii dawno się otrząsnął. Z miną filozofa najskrajniejsze wygłasza zdania na utrapienie matki, na uciechę ojca. Wcześniej stracił niewinność duszy i zbyt wcześnie niewinność ciała. Jeszcze nie skończył czwartej klasy, a już jest skończonym... 1)“.

A młódz niewieścia? Ha!... „Któż dziś wita z oklaskiem entuzjazmu przedstawienia sceniczne treści najbrudniejszej, w których prócz brudu i swędu nic nie znajdziesz?... Któż to frenetycznie sypie kwiaty takim autorom, którzy w stanie trzeźwym pisać nie umieją? Oto, młode nasze panienki, podlotki, ortograficznie pisać jeszcze nie nauczone.. i to przy boku matki!“ 2).

A w ludzkiej, tej zdrowej części w or-

1) Tamże.

2) Jaka jest nasza wada narodowa główna? s. 88

ganizmie naszym, ileż ciemnoty i moralnego zwyrodnienia!

Bagno się wzdyma, podnosi, rozlewa; trujący swąd kloaki unosi się w powietrzu, ludzie się duszą, czasami ponarzekają, czasami zniosą w milczeniu, zamkną oczy dyskretnie a — pogo? a na co? niech tam...

Cicho, cicho nie budźmy śpiącej wody w kotlinie  
Lekko z wiatrem pływajmy po przestworów głębi-  
[nie...

tak, tak! — nie budźmy, nie trwóźmy... niech tam... Wszak to zwykły pochód ludzkości szlakami czasów minionych, pokoleń zamaryłych, wszak to wstępne kartki do wielkiej księgi cywilizacji...

Ale dosyć tego

Jakaż jest, zapytajmy, przyczyna tego, że człowiek tak poniżył własną godność, że się stał czemś niższym od człowieka, — tem *bête humaine*. Różni różnie tłumacza. „*L'homme est pire, que la bête, quant il ne vit pas en homme*“ — powiada Tolstoj 1) — człowiek, jeśli nie żyje życiem człowieka, jest gorszym od bydła.

My zaś wierzący powiadamy, że jeśli człowiek usunie z życia swego podstawy religii, czy też żyć będzie niezgodnie z zasadami tejże religii, jeśli wzni-

1) La sonate a Kreutzer str. 99.

słe ideały cnoty, moralności nie staną się jego ideałami, wtedy człowiek imię ma jakby żył, ale jest umarły. Religia katolicka może wydać te wielkie postacie ludzi świętych, tych prawdziwie nadludzi, bohaterów cnoty, tytanów walki i ofiary.

Dlaczego ten potężny czynnik religii jest tak rieżnacznym, dlaczego tak straszliwy zanik moralny, obok tak wielkiej siły i prawdy?

To natarczywe „dlaczego“ nasuwało się zapewne czytelnikowi, to miałem też ciągle w pamięci, do tego zmierzałem. Dlaczego więc?

To co Ehrhard powiedział o wieku XV, mogę stosując do czasów obecnych, słusznie przytoczyć w odpowiedzi. Jest on tego zdania, że zanik moralności, obniżenie wpływów Kościoła wytworzyło się naprzód skutkiem nie-normalnych stosunków, jakie zaszły pomiędzy postępem, życiem i Kościołem, powtóre skutkiem winy duchowieństwa wyższego i niższego rzędu.

Może dziś i inne jakie przyczyny dołożyły się do dzieła, ale zatrzymajmy te dwie i przyjrzyjmy im się bliżej.

Widzę, widzę już uśmiech ironii na ustach naszych uczonych. Znamy—słyszę — to zwalanie wszystkich minusów społecznych na karby hipoteki cywilizacji i postępu. „Pogardą i złością—mó-

wi Jellenta<sup>1)</sup> — dyszą ci, co w nowych ideałach cywilizacji widzą sprawę dyabła, groźbę zagłady moralności i religii“. Stara to piosnka, powie niejeden, dawniej cała wina ciążyła na encyklopedystach, potem na rewolucjach, a dzisiaj na cywilizacji. Stara bo stara — odpowiemy, ale i trochę prawdziwa. O encyklopedystów mniejsza (zbyt to już stare), ale o rewolucjach mówi sam Jellenta: „Ani paradoksyta Carlyle, ani głęboki i gruntowny Taine nie mają nic wspólnego z formułką prawowiernych, a przecież obydwaj wydali na rewolucję wyrok raczej potępiający, niż uniewinniający, a już stanowczo jej nie pochwalili. A Renan? Coraz częściej, coraz śmiej podriwiwa sobie ten subtelny Pyrrhonita z doby, której jest jeśli nie synem, to wnukiem“. I ja też powiem, że coraz otwarciej sztydzi sobie niejeden z myślicieli wieku z dorobku ludzkości — postępu i cywilizacji, z patetycznych dytyrambów, głoszonych ku czci kultury, a chyba nikt jeszcze poważnie nie obstawał za identycznością, a przynajmniej jakimś dodatnim stosunkiem między cywilizacją a moralnością.

Kant powiada: „Stoimy wysoko pod względem kultury przez naukę i artyzm,

<sup>1)</sup> Wszeczpomat i najnowsze jego dzieje s. 163.

jesteśmy ucywilizowani aż do przesady, nie twierdę jednak, żeśmy się stali moralniejszymi“.

„Oto przed nami, cytuje Dębicki jakiegoś polskiego filozofa, oto przed nami niedomyślane skarby nauki, oto rosnące wciąż ślady olbrzymiej a gorączkowej pracy, oto siły, jakich nawet wyobraźnia bajecznym tytanom przypisać nie śmiała! A przytem wszystkiemu ludy łakną, pragną i jęczą. Na cóż się to wszystko zdało? Cóż upatrzyła nauka uczonych, co zrobiła praca robotników, co wywalczyło bohaterstwo narodów, co obmyśli nareszcie lzy tyłu pokoleń? Święty Boże, coż się dzieje na świecie!“

Byron zniechęcił całym sercem wszych rodaków z ich postępem i faryzyską cnotą. Szczęścia szukał na łonie przyrody, a dla swych ziomków miał bezgraniczną pogardę, chłostę zjadliwej satyry, po imieniu nazywał ucywilizowanych dzikusów, świętoszków w szatach purytańskiego fanatyzmu i głupoty:

„Bo czy wy ludzie?... Zbyt wiele zaszczytu,  
Gdy was psami zwę.

W innym miejscu zwracając do cywilizacji, mówi:

Jakież z ciebie zyski? I ze społeczeństw wiel-  
[kich?]

Byt, zgnilizny pełen, głód i wojna.

Niewątpliwie, te „zyski“ towarzyszą ludzkości i w dziecięcym okresie jej rozwoju, ale i to jest pewne, że cywilizacja, niestety, w niczem jej nie zmniejszała. Wiadoma wszakże — *contra factum nulla valet probatio* — że centra, gdzie się skupia żywotna siła człowieka, wielkie środowiska ludzkiej działalności, gdzie się zogniskowują rozstrzelane promyki wyteżonej pracy cywilizacyjnej, są zarazem środowiskami strasznej nędzy materialnej i moralnej.

Tak więc dzisiejsza cywilizacja, a raczej te warunki wśród jakich się ona ukształtowała i jeszcze się kształci, nie mało się przyczyniły do tego, że moralność i postęp, to dwa prawie wrogi sobie obozy.

Rozejrzyjmy się szerzej po świecie, zajrzyjmy do literatury, gdzie się ujawniają wszystkie poruszenia ducha ludzkiego, wszystkie jego bóle i powikłania, a znajdziemy wszystko, tylko nie dowody dodatniego wpływu cywilizacji *per se* na duchowego człowieka. Ba, spotykamy poprostu negację jakiej bądź moralności, jako rzeczy przestarzałej, nieliczącej z duchem czasu.

Zola miał powiedzieć, że wobec ety-

ki dzisiejszej moralność nie ma racji bytu, a Renan upewniał, że w przyszłości słowo „moralność“ wyjdzie z użycia, a zastąpi je estetyka. Człowiek bo nie będzie pytał, czy taki czyn jest zły lub dobry, ale czy jest piękny.

Moralność, oczywiście, [nie leży w istocie człowieka, pierwiastek złego otrzymujemy w spadku. Prawo natury samo przez się nie jest zdolne zapobiedz fatalnym skutkom dziedziczności, tylko siła nadnaturalna może zatrzymać człowieka, skrępować go powagą, miłością lub karą. Religia jest tym jedynym i niezbędnym czynnikiem w zapobieżeniu złemu — z tem tak czy owak, każdy się zgadza. Wiara w Boga i nieśmiertelność wynosi człowieka ponad poziom istot organicznych, daje treść i znaczenie jego życiu, zmusza do walki i przeciwdziałania złemu. W miarę więc jak ta wiara się osłabia, lub zanika zupełnie, zło niczem nie krępowane bierze górę, moralność się rozluźnia. Ponieważ zaś ogólny kierunek dzisiejszej cywilizacji jest wrogi nie tylko religii katolickiej, ale po prostu wyklucza wszelkie wierzenie, uznając tylko naturalny wpływ rozumu i praw przyrodzonych na człowieka, przeto na nią pośrednio spada wina w sprawie demoralizacji.

Były czasy, kiedy duch panował nad materią, a Kościół rozpościerał swój

wpływ na wszystko i wszystkich — czasy silnej wiary i wielkich czynów. O! — i przemieły, westchnie lżej niejeden wielbiciel czystego rozumu, niepodległej etyki; pękły mury średniowiecza, co przez wieki całym swym ciężarem gniotły pierś ludzką, przytłaczały myśl, obezwładniały duszę; sypnęły gruzami zbroice feodałów na straży omszałej tradycyi, myśl wyzwolona chyżo pomknęła w krainy nieosłoniętej prawdy, jasna, przejrzysta, wolna pętów scholastyczno-jezuickiej kazuistyki. Niekrepowana niczem dotarła do granic absolutu, przejrzała się w „zwierciadle prawdy wiecznej“ i z tryumfem zawołać mogła z Faustem: 1)

Ich, Ebenbild der Gottheit, das sich schon  
Ganz nah gedünkt dem Spiegel ewiger Wahrheit  
Sicht selbst genoss im Himmelsglanz und Klarheit...  
Ich mehr als Cherub...

Wszakże, niestety, z chwilą wyzwolenia się, rozpoczęły się smutne dzieje myśli ludzkiej, dzieje domu bez fundamentów. Bezradność w mrocznych labiryntach zagadnień bytu, w bezmiarze pytań, rzucanych rozpaczliwie w przestwory, bez echa, bez odpowiedzi — za-

1) Ja, wizerunek bóstwa, com się czuł  
Już blizkim być zwierciadła prawdy wiecznej  
Sam sobą żył w jasności nieb słonecznych...  
Ja, nad cheruby...

znaczyła się nader jaskrawo. Faust po namiętnym wybuchu poczucia swej siły, zniża głos i prawie z rozpaczą mówi:

Mnie słowa grom jednego strącił w noc...  
Tak wielkim ja, ale i małym jak!

Tak też i duch ludzki oderwany od źródła, a wiecznie spragniony prawdy i szczęścia, zaczął się miotać, błąkać w przeróżnych sferach, chwycił się wszystkiego, a zawsze spragniony, nigdy nie nasycony. Zerwał z Prawdą odwieczną, ale dusza jest „z przyrodzenia chrześcijańska“, więc iskry Bożej nie mógł zdławić, piętna nadprzyrodzonego nie mógł zmazać, zmałało ono tylko do granic zaniżku. Wtedy nastąpiło to straszne, podobne do błąkania potępieńców w piekle dantejskiem, rzucanie się na wszystkie strony, szukanie wyjścia; ale wszędzie panowała noc, żadna gwiazdka nie rozjaśniała kirem powłóczonej duszy, w bezsilnej i bezowocnej walce opadła ona, jak „ptak z podartymi skrzydły“ z jękiem niemocy, ale i tęsknoty za światłem i życiem.

Jakieś tęsknoty we mnie się szamocą,  
Jakieś gorące bezbrzeżne tęsknoty  
Za światłem, życiem, spokojem i mocą —  
I próżno — próżno sen duszy mej złoty  
Ścigam bezwiedną otoczony nocą.

Noc panowała w sercach i umysłach ludzkich, a tem straszniejsza, że bez nadziei świtu. Idea Boża, wszechmocny Twórczej błąkała w mglistych i niejasnych konturach wszechogarniającego absolutu, jakiejś potęgi niekreślonej a strasznej, unoszącej się nad światami, objawiając się jednocześnie w każdej rzeczy i postaci, lub też odzwierciedlając w sobie wszystko. Rozum zaś potrzebuje jasnych, określonych kształtów, abstrakcja więc bóstwa zamieniła się realną istotą ludzką. Wtedy człowiek się stał syntezą i rozwiązaniem zagadnień bytu. Boga więc już nie było, człowiek sam się ubóstwił. I rzecz dziwna! — on co się wyswobodził z pętów obłędu i fanatyzmu, on się tem nie zaspokoił, ale wciąż szukał podstawy swoich wniosków, rozwiązania tego, co mu się wydało rozwiązaniem. Pozostawiając siebie własnym siłom, człowiek nie mógł zbadać i odnaleźć tego, co wzięło początek w nieograniczonej mądrości Stwórcy, upadał więc w coraz większe powikłania, w przepaściste głębie mrocznego pesymizmu, utożsamiania bytu z cierpieniem, w absolutną negację wszelkiego dobra i szczęścia, aż się oparł na fundamentie materializmu. Zdawało się, że się tu zadowolni, zagadka stworzenia była rozstrzygniętą: człowiek miał powstać mocą wirowego ruchu w wszech-

naturze, wyłonić się z ogólnego chaosu mocą ewolucyjnego stawania, przyszłość jego, to przyszłość bez trwania, koniec najzwyczajniejszy, śmierć, a po niej nicność. Życie w tak szczupłych ramkach, oczywiście, należało urozmaicić i siako tako dobić do ostatniego kresu roztlania w nicności.

Teorya materialistyczna, stara zresztą jak świat, w dzisiejszem społeczeństwie znalazła niezliczonych wychowawców, którzy zasady swoich mistrzów wprowadzali w czyn, godzili z życiem. Dzisiaj nietylko w literaturze można spotkać obrazy z galerii „komedyi ludzkiej“ Balzaca, ohydne postacie z cyklu Rougon-Macquart brutalnie przerafinowanego Zoli, sylwetki Dickensa i Thackeraya; dzisiaj Rastignac i Vautrin, Polaniecki i Borowiecki trafiają się na każdym kroku, jako odruchy rozpedzonego koła wielkiej maszyny materializmu.

W takiej przystani osiadły natury grubsze i było im dobrze, ale szlachetniejsze jednostki z obrzydzeniem patrzyły na człowieka-zwierzę, które pod wpływem zasad i hasel nowoczesnych, wyzyło się wszelkich ideałów, potrzeb i wymagań duchowych. To niezadowolenie znalazło ujście w powrocie do wyrozumowanej religii Tołstoja, w nowym prądzie w literaturze francuskiej.

Konsekwentnie z obrzydzeniem mate-

ryalizmu zjawilo się uświadomienie konieczności religii i wiary dla człowieka. Leon Tołstoj wystąpił z doświadczonym postulatem, że jedynym ratunkiem dla ludzkości jest religia, oparta na rozumie i Ewangelii, jako źródle wszelkiej mądrości; nie była to wszakże religia katolicka z poddaniem rozumu wierze, była raczej sztucznym wynalazkiem dla ginącego świata z domieszką mniej lub więcej chimerycznych wniosków; dlatego to teorya tołstojowska nie ma szerszego zastosowania i znaczenia.

Uznanie konieczności wiary, jako podstawy społecznej, zaczyna pobłyskiwać w nowej generacji literatury francuskiej, w osobie Sarrazina, Roda i innych.

Sarrazin <sup>1)</sup> o duszy szlachetnej, szukającej prawdy w prześlicznej, poetyckiej prozie skreślił uciążliwy pochód ducha swego *dè l'éphémère à l'éternel*.

Na mrocznym tle, utkanem z myśli ponurych, błyska gdzieniegdzie myśl jaśniejsza, zrazu nieznaczna, niepochwytna, stopniowo coraz wyrazistsza; potrosze w duszy się rozpogadza, cofają się chmury pesymizmu, a zgrzytliwe tony dysonansu kończą się wspaniałym finałowym akordem duszy wyzwolonej, przekonanej *„et maintenant, l' à haut, c'est l'empire*

<sup>1)</sup> La Montée.



*de l'aile, jusque là-haut, jusque là-haut...*“ Là-haut — tam, w krainie ideałów i szczęścia dusza znajduje spokój, tutaj, skoro ugrzęźnie w nizinie, staje się nieszczęśliwą.

Tak więc wśród mroku nocy na wschodzie poczynało błednieć. Lekka linia zarysowała się widocznie i szła coraz dalej, obejmowała większą część nieba. Może już niedaleko świt, kiedy olśniewające światło przeniknie do ciemnych i stęchłych labiryntów myśli, rozbudzi życie nowe, przyniesie ocalenie rozbitkom na morskiej topieli, może po orgiach rozpacz i wysiłkach myśli nastąpi uspokojenie i szczęście na łonie Kościoła, w posiadaniu czystej prawdy, a ludzkość całym sercem wtórować ze chce słowom poety:

Jak kwiat wędnący na życia lodydze,  
Weź mnie do Siebie, bom już pójść ztąd gotów,  
Dość mi obłądów, który wkoło widzę,  
Dość mi już własnych upadków i wzlotów,  
Weź mnie na ciszy łono wiekuiste  
Weź mnie do Siebie, bom już pójść ztąd gotów—  
Chryste, o Chryste!

Tymczasem materializm ze swemi zasadami musiał się zetknąć z religią katolicką, głoszącą zasady wręcz przeciwnie. Rozpoczęła się walka zaciepła, której skutki były widoczne: materializm mógł zaszkodzić, zrobić wyłom w

Kościele, ale nie zwyciężyć go. To też wiadomo, że filozofie Kantów i Hegłów nie sprawiły tyle złego, co teorie Vogta, Büchnera i t. p. Poprzedni ruch anty-chrześcijański encyklopedystów i rewolucyj, z ich nienawiścią do wszystkiego, co miało jaką bądź styczność z chrystyanizmem, zwrócił się teraz otwarcie do katolicyzmu. Wolterowskie — *écrasez l'infame*—zmieniło się w wyraźny okrzyk pieniającej się wściekłości: *cléricalisme voilà l'ennemi!* Po parlamentach i salach obradowych z dewizą sprawiedliwości i... praw Bismarka, obwołano pospolite ruszenie na wrogów państwa i ludzkości Kościoła i duchowieństwo. Dzisiaj nikt z tem się nie kryje, owszem, mężowie stanu i liberalna prasa nawzajem się prześcigają w wymyślaniu mniej lub więcej udatnych aforyzmów.

„*Nous irons jusqu'au bout*“ — woła Combes ku wielkiemu zadowoleniu braci-masonów — do końca doprowadzimy dzieło zniszczenia, rozpoczęliśmy od katasaty zakonów, wypędziliśmy słabe zakonnice i siostrzyczki, wygnaliśmy bezbronných mnichów, walka z religią jest prowadzona systematycznie i stale — jeszcze chwila, a nastąpi błogi spokój, swoboda; w imię więc braterstwa i równości walczmy do końca i już nic nas nie powstrzyma: — *rien ne m'arrêtera dans mon oeuvre.*

Duchem więc ludzkim targały prze-  
różne teorye, od russoistów do najnow-  
wszych zwolenników Tołstoja, przeszły  
szkoły niemieckich filozofów, a uszczęśli-  
wienia nie przyniosły.

To dziwne szamotanie odbiło się i na  
polityce ludów Europy; człowiek raz się  
chwycił rządów monarchicznych, to zno-  
wu głosił republikę, rządy się zmieniły  
parciem wypadków i widzimisię tłumów.  
Dziwne, a jednak konsekwentne losy  
pchały nową historję Francyi. Potężna  
monarchia już nosiła w swem łonie ruinę  
i zgubę, wszystko w niej się składało  
i pchało ją stale i nieubłagane do prze-  
paści. Rozkład szedł z góry. Wyuzda-  
ne życie monarchów przedrewolucyjnych  
zatrulo całą Francję; lud jęczał pod brze-  
mieniem podatków, nędzy materialnej  
i moralnej. Trzeba było czegoś straszne-  
go, czegoś, coby wstrząsnęło w podsta-  
wach, nawet zburzyło te podstawy i da-  
ło inny kierunek całemu narodowi. Na-  
stąpiła wiekopomna rewolucya; popłynę-  
ła krew ludzka, ale ocalenia nie przynio-  
sła. Geniusz Napoleona podźwignął nie-  
co Francję, przywrócił jej nieco blasku  
i świetności zewnętrznej, głębiej nie się-  
gnął, bo nie miał sił po temu.

Ruchliwość i chwiejność charakteru  
narodowego udzieliły się ruchowi poli-  
tycznemu. Na modłę francuską wytwor-  
zyła się polityka i w innych państwach;

rewolucye przeszły przez całą prawie  
Europę, kilka państw uległo zmianom  
i przewrotom; nowe idee i prądy zary-  
sowały się mniej czy więcej w każdym  
narodzie.

Tak się przedstawia historia ducha  
ludzkiego w tym powierzchownym zary-  
sie. To jest pierwsza przyczyna, raczej  
podkład i przesłanka do ergo — obniże-  
nia moralności. Drugą jest, jak chce  
Ehrhard, wina duchowieństwa, księży.

Z pomiędzy innych przyczyn potra-  
cam raczej tę, nie dlatego, że czuję się  
w obowiązku z mego stanowiska wy-  
rzucić innym to, co dostrzegam sam  
w sobie, ale poprostu dlatego, że gdzie  
chodzi o prawdę i bezstronność, tam  
ukrywania być nie powinno, tembardziej  
jeśli się mówi w dobrym zamiarze —  
z serca.

Od nas często pochodzą narzekania,  
nawoływania do reformy, a nie widzimy,  
że w znacznej części my sami winni je-  
steśmy, że skutek bierzemy za przyczy-  
nę i gubimy się we wnioskach. Mówi-  
my, że w naszych rękach spoczywa siła  
moralna, że w naszej osobie ujawnia się  
wielka idea Boża, że jesteśmy łącznikami  
między niebem a ziemią, światłością świa-  
ta, naiwnie też sądzimy, że takimi jeste-  
śmy. Ale bądźmy szczerzy! Połóżmy  
rękę na sercu i powiedzmy, czem jeste-  
śmy wobec tej wielkiej idei kapłaństwa,

wobec posłannictwa reformatorów z jednej, a straszego zdemoralizowania z drugiej strony? „Niestety — mówi ks. Pleszczyński w swem prześlicznym, prawie natchnionem „Ideał kapłana“, niestety, kapłan niezawsze jest przedstawicielem wyższej idei, wyższego porządku rzeczy wśród ludzi; niezawsze jest to mąż o wybitnych rysach świętości. Nie jest to po większej części dobry, poczciwy, ale zwyczajny i pospolity człowiek! Wyższy duch, wznioślejsze życie, szczytniejsze wzory cnoty, wszystko to nas odbiegło, wszystko to gdzieś utknęło na mieliźnie moralnej i zamiast jaskrawego słońca kapłaństwa, pozostał tylko księżyc bladej, bezduszny, zimny... Silna, wyrazista indywidualność zginęła, a mężów Bożych zastąpili ludzie uczciwi“.

I to są szermierze, bojownicy wobec licznego wroga, to antidotum na chorobę świata, zapora przed powodzią! Jak świat szeroki, tak szeroko się rozlała powódź skażenia moralnego, niewiary, podłości i zbrodni — a ratunku znikąd.

Jedni wyparli się otwarciem słowem lub czynem, straceni są oni dla wielkiej idei kapłaństwa; za nimi postępuje nieprzejrzany poczet ludzi wprawdzie dobrych, szlachetnych, ale jednak zwyczajnych ludzi. Nie dojrzyś u nich poświęcenia się sprawie Chrystusowej, „owej ofiary całopalnej, heroicznego złożenia u stóp

krzyża wszystkich momentów życia, wszystkich poruszeń myśli, wszystkich uderzeń serca. Niestety, taki stopień ofiary nie powstał w marzeniu... Rutyna zastąpiła dziś miłość, samolubstwo ofiarę, a wielkie powołanie kapłańskie zamiast stać się treścią życia, stało się podrzędnym dodatkiem <sup>1)</sup>.

Tak się przedstawia kapłan w oświeceniu swego ideału.

Ideałów wszakże jest mało na świecie. Dążyć do życia wyższego, do urzeczywistnienia zamiarów Bożych — jest obowiązkiem każdego, ale osiągnięcie ideału od Boga zależy. Wychodząc z założenia, że jaskrawa, wybitna świętość życia, to jedyny środek na chorobę świata, na zgniliznę moralną w łonie ludzkości, kapłan ze swego stanowiska ma ścisły obowiązek piąć się na szczyty, ponad ogólną miarę pospolitości, z drugiej jednak strony nie można potępiać bezwzględnie ogół dla tego, że nie wszyscy się skroili według miary swego ideału, że nie wszyscy się wdarli na niebotyczne góry, że niektórzy się stoczyli w głębie przepaści, że niektórzy wolą mieszkać na nizinie w spokoju i sytości — potępiać, powiadam, nie podobna.

Prawda, że im świętsze zadanie i wyższy cel, tem większa odpowiedzialność,

<sup>1)</sup> Ks. Pleszczyński, Ideał kapłana, str. 85.

zaniedbanie się spowoduje groźniejsze skutki i powiększa winę, ale rozmyślając w tej kwestyi, miejmy jednak trochę wyrozumiałości, nieco więcej miłości, a wiele zrozumieć i wytłumaczyć zdołamy.

Świetlane tło szczytnego ideału oczywiście rażąco odbija krzywizny duchowego życia, ale przypomnieć należy, przy jak ciężkich warunkach wyrabiało się to życie, że i duchowni wyszli z tegoż samego społeczeństwa z jego wadami i zaletami, że pracują w tak blizkiej styczności z wezbranem korytem mętów codziennego życia, że to życie drwi z ideałów i szlachetnych porywów, ostudza zapały, łamie skrzydła orłów, zabija samoistne talenta.

Jeśli wreszcie chodzi o bezstronność, to nie ma potrzeby ukrywać. Mamy kapłanów niczem się nie wyróżniających wśród szarej masy przeciętnego ogółu, mamy zacnych i pracowitych oraczy niwy Bożej, ale mamy też ludzi, pełnych ognia poświęcenia i ofiary, istnych bohaterów. *Rari nantes in gurgite vasto—Wergilego...*, *amici Dei, imitatores Christi*—trafiają się może częściej, niż sądzimy.

Zwykle się ceni wszystko, co błyszczy i ma rozgłos; przed blichтром i reklamą bijemy czołem. Głośny czyn elektryzuje tłumy i zgina tysiące u stóp bohatera. Wszystko zaś co się dzieje w ukryciu pokrywa milczenie, — bo i ktoby

się tem zajmował, o czem wszyscy milczą. Mamy jednak w ukryciu wielkie charaktery i heroiczne czyny! Jednorazowy, acz potężny wybuch nie świadczy jeszcze o bohaterstwie osobnika, tylko stała i niezmienna praca wśród warunków najniepomysłniejszych, ofiara bez słówka uznania, poparcia i pociechy — to jest jedynie wielkie.

„Wielkim jest Kopernik — mówi Debicki <sup>1)</sup> — Newton, Lineusz, wielkim Watt, Stephenson, Morse, Rafael, Canova, Mickiewicz i Goethe, ale niemniej wielkim jest każdy cichy pracownik w Chrystusowej winnicy, który w miarę możności podsyca święty ogień chrześcijańskiego zapału w ziębnących ławo sercach swych bliźnich. On, bowiem skarby ducha, zdobyte przez wieki, ochrania od zagłady, on dla przyszłości pracuje, dla postępu i zwycięstwa prawdy“.

Z radością trzeba się przyznać, że mamy takich pracowników. Nie myślę kadzić, ale o prawdę chodzi, więc mówić o jednym, a pomijać drugie się nie godzi. Słyszymy panegiryki na cześć „dobroczyńców ludzkości, przyjaciół ludu“, ale jeśli chodzi o księdza, to zawsze on będzie tylko zjadaczem chleba, pasożytem społeczeństwa. Tymczasem może coś się da powiedzieć i na jego korzyść. Są, jak

<sup>1)</sup> Postęp, szczęście, str. 83.

już powiedziałem, kapłani pogrążeni w martwocie duchowej, bez idei i wzlotów w sfery ideałów, są pracownicy w szczytych ramach funkcji biurokratycznych, są obywatele na cichych zagonach małostkowych pragnień i niskopiennych pojęć, są dostojnicy w powijkach sławy i honorów, ale też niemało jest serc gorących ideą Bożą, niemało jest czynów wielkich i cnót heroiczych, niemało się dzieje pięknych rzeczy, często nieznanych, niemniej jednak wielkich. Znam kaznodziej, którzy nie wysiłkiem płuc, nie sztuczną egzaltacją, ale sercem zdobywają serca; znam krzewicieli oświaty Bożej, pionierów kultury w gąszczach moralnego zdziwienia, w bagnach zbrodni i występku; znam takich, którzy mają tylko słowa przebaczenia, miłości i wyrozumiałości, zamiast piorunów zgrozy i oburzenia pod adresem ludzi niewierzących, martwych i spodlonych, zamiast systematycznego obryzgiwania błotem wszystkiego, co się nie zgadza z ich „katolickimi“ pojęciami.

Pozostawmy więc zarzuty, a podajmy dłoń przyjazną braci duchownej, dopomóżmy w ich wielkiem posłannictwie, niech oni znajdą w nas nie wrogów, ale dzieci kochających i wyrozumiałych. Podajmy dłonie wzajemnie, otwórzmy źródła życia, ogniem poświęcenia naszego zniszczmy chwasty przesądów i kastowej niena-

wiści, a wtedy—jak mówi Mickiewicz—pod sztandarem żywej wiary połączone ludy pójdą z nami ku spełnieniu wielkich swych przeznaczeń.

„Położenie współczesne kleru nie jest bynajmniej godne zazdrości — powiedział jeden z młodych.

Ściśnięte żelazną obręczą trudnych warunków, przeciążone pracą, spotykając często nie pomoc i ramię współpracowników, ale zapoznanie i nienawiść, w duchowieństwie naturalnym biegiem rzeczy mogło się wytworzyć osłabienie ducha, zniechęcenie i upadek sił.

Słyszac głosy, zwołujące do reformy, szczerze życzyć należy, by one się odbiły echem rozgłosnem wewnętrznego przekształcenia się społeczeństwa, by kapłani zrozumieli, że czas reformy nastąpił, ale przedewszystkiem reformy samych siebie. Reforma iść winna z góry, od środka; od siebie więc ją zacznijmy, jeśli chcemy reformować kogoś lub coś. *Medice cura teipsum*. Zmudna to praca, nadludzkimi wysiłkami nieraz trzeba okupić każdą piędź. Zdobycze ducha — to nie drzemka poobiednia pod cieniem lipy, nie jeremiada bez treści nad cuchnącym odmętem życiowym, nie obracanie się w błędnem a miłym kółku własnych przywiązań i słabostek. Wyrzucmy naprzód z własnego serca bożków próżności, filisterską ospałość

i biurokratyczno - urzędową gorliwość, a wtedy się zajmijmy „oczyszczeniem Augiaszowej stajni“. Niech miłość się roznieci i zapłonie świętym i ożywczym ogniem w sercach i życiu naszym. Sine caritate sacerdos dici potes, esse non potes. — Accipe vestem sacerdotalem, per quam charitas intelligitur. Miłością ogrzejmy lud nasz, nauczmy go kochać swoich i Boga, a zbierzemy plony stokrotne, zawojujemy przyszłość. „Czemuż się ociągamy? woła na nas biskup Egger. Gdybyśmy posiadali moc zaparcia się, gdyby w nas mieszkał duch ofiary i miłości, jaki płonął w sercu Jezusa, gdybyśmy z nieprzepartą siłą i odwagą runęli w wir walki w imię Chrystusa, z miłością Jego — cofnąłby się wróg zdumiony i przerażony, i mimo olbrzymiego zepsucia na świecie, zakwitłyby wiara i czystość obyczajów, powtórzyłyby się najpiękniejsze czasy z życia Kościoła <sup>1)</sup>.

A stary Trentowski <sup>2)</sup> jakby na kłęczkach nas błaga: „Ach, księżu proboszczu, miej litość nad twoją owczarnią i czynь wszystko ku polepszeniu tego tak smutnego jej położenia; czynь, co tylko w twej mocy! Tu łatwo zasłużyć na niebo! księżę dobrodzieju, bądź nie tylko tytularnym, ale i rzeczywistym dobrodziejem“.

<sup>1)</sup> Egger — Clerus und Alcoholfrage 34 str.

<sup>2)</sup> Chowanna t. II, poszyt I, 134 str.

Ze stanowiska swego kapłan jest przede wszystkim sługą Boga, nie zaś obywatelem, narodowcem, propagatorem. Dla niego wszyscy są równi, dusza każdego równie mu droga bez względu na to, czy będzie ona polska, litewska, chłopska czy pańska.

Duńczyk ksiądz nie umiejący po polsku, uczy się tego języka, bo ma w parafii polaków-emigrantów. Według mody dzisiejszej należałoby zmusić tych ostatnich do nauczenia się języka krajowego, ale wspomniany ksiądz jest pastierzem, nie wilkiem, tego więc nie zrobił. Poganin i Żyd, Grek i Scyta wobec uniwersalnej, że się wyrażę, nauki Chrystusa, są równi. Prawdziwa miłość nie rozróżnia Litwina i Polaka, zapomina o plemiennych sympatyach i nienawiściach, zaciera narodowe różnice, jakie wynalazło warcholstwo i „uświadomiona indywidualność“. Causa diligendi, Deus est, modus — sine modo deligere — powiedział św. Bernard.

Od niedawna zaczęto zwracać uwagę, że krytyka i wzajemne polemiki winne być „przyzwoite co do treści i co do formy — bez zarzutu“. Nieraz zdarzało mi się konstatować to smutne zjawisko iście nie kapłańskiej zaciętości, złośliwej ironii w opozycjach i polemikach z liberalnymi, albo poprostu nieogłędnymi

adwersarzami. Mimowoli zjawiało się pytanie, czyżby ksiądz mógł tak widocznie łamać kardynalne podstawy głoszonej przez się miłości. Oczywiście, tak źle nie jest. Sienkiewicz gdzieś powiedział, że ludzie z natury łagodni i dobrzy, jeśli się zadraśnią ich najdroższe uczucia, wybuchają czasami gniewem i oburzeniem w daleko większym stopniu niż w rzeczy samej je odczuwają. Toż samo można powiedzieć i w danym wypadku. Świadome czy nieświadome zadrażnienie przez „panów z przeciwka“ przekonań i zasad katolickich, spowoduje z tej strony straszliwy wybuch oburzenia (czemu nikt się nie dziwi), ale zamiast spokojnego wyświetlenia zakwestyonowanej prawdy, zjawiają się kwadratowo miłowe żale (co jest mniej chwalebne, a jeszcze mniej pożyteczne) na temat zalewu bezwyznaniowości, potrąca się coś nie coś o bomby i szmertele liberalno - pozytywnej propagandy, a na konkluzję — wzmianka o opoście Piotrotrowej i bramach piekieł, lecz o zasadzie nic, albo bardzo mało.

Oczywiście, z przeciwka również nie szczędzą nie tyle trafnych, ile dosadnych epitetów, zbyt już znanych, by je powtarzać. Niektóre organa naszej prasy z zasady i aż do znudzenia głupio powtarzają w kółko o zacofaniu ultra-konserwa-

tywnej partyi, o przewadze materji nad duchem i t. d. <sup>1)</sup>

Tak więc walka o zasadę przechodzi na

<sup>1)</sup> Dowodów jest mnóstwo — oto jeden z nich. „Niwa Polska“ za przykładem innych pism wywleka przed sąd swych abonentów sprawę zasuspendowania ks. Bolcewicza. Jakiś „krytyk“ zdawał z niej relację: wynosił pod niebiosa poszkodowanego, a potępiał sędziów. No, ale trudno, każdy ma swoje zdanie i skoro jest publicystą wypowiadać je może; był więc najzupełniej w porządku, aż nim nie zaczął wymyślać (i to nawet brzydko wymyślać) tym, którzy się nie zgadzali ze zdaniem jego lub jednomyślnych z nim. Np. dowody i poglądy ks. Maciejewicza nazwał, niewiele myśląc, „pamfletyczną elukubracją“ i jakoś jeszcze, bo już nie pamiętam. Ks. M. oddając w wielu razach słusność ks. B., zaznaczył wyraźnie, że ten ostatni w całej sprawie zachował się daleko szlachetniej i z większą godnością, niż wszyscy jego nieproszeni obrońcy. Może dlatego? A *vrai dire*, — bo były inne, niż te, których się trzymał nasz oponent. Upewniał, że dziś więcej jest laików niż księży, studyujących teologię i prawo kanoniczne (choć inny krytyk, zapewne trochę więcej pesymista przysięgał, że nie wielu się znajdzie panów, którzy są w stanie wyliczyć imiona czterech ewangelistów); suponując swą wiedzę teologiczną, z wyżyn imaginacji rzucał piorunami na wielu wogóle i na wybrańców w szczególności, zdobiąc tych ostatnich wieńcem kłamstw i t. d.

Ogromnie lubię tego rodzaju krytykę; jest w niej coś naiwnie dzieciennego, coś co potrąca o te czasy, kiedy rubaszny koncept kwestarza przyprowadzał do równowagi filozofującą szlachtę, wreszcie co przypomina mi wstęp do odpowiedzi Byrona krytykom z Edynburga gdzie mówi, że w braku myśli, gwizdali sobie.

To jest drobna ilustracja tolerancji i poszanowania cudzych poglądów i nietykalności osoby wypowiadającej je.

tory pospolitego wymyślania i subiektywnych przytyków; wobec tego najtrafniejsze argumentacje rozbijają się o stalowo zimną ironię przeciwnika, który tylko wzrusza ramionami i odpowiada pogardą.

Dla przekonania kogobądź potrzebne jest naprzód doskonale zrozumienie nastroju jego duszy i poglądów, następnie poszanowanie onych, jako cudzej własności, zdobytej może wysiłkami myśli i woli, walką w pościgu za prawdą i dobrem. Żle zaś zrozumiana gorliwość, połączona z powziętą zgóry tendencją raczej zohydzenia i zwymyślania przeciwnika, niż obiektywnego wykazania i naprawienia błędu — do niczego nie prowadzi i przynosi najmarniejsze skutki.

By wreszcie kogo przekonać, trzeba samemu posiadać wielką dozę uczuć, trzeba mieć serce. Rozum tylko i naukowe teorie w rzeczach wiary nie zajmują pierwszego miejsca. Religia i nauka są to rzeczy różne, żyją w sferach całkiem odmiennych, często oczywiście się stykają, ale istnieją niezależnie. Dlatego to, według mego zdania, wszelkie apologie wiary, oparte na nauce ścisłej, wszelkie powoływania się li tylko na rozum i zdobycze jego, dlatego by wykazać wiarogodność prawd Kościoła ze stanowiska nauki — chybają celu. Dla pozytywnie myślących i materialistycznie

usposobionych naukowe argumenta nie wystarczają; mogą one rozszerzyć widnokrąg, wskazać niewidzialne dotychczas horyzonty, nadać inny kierunek myślom, ale zupełnie je zmienić, podbić pod jarzmo praw odwiecznych — nie zawsze się uda. Że dom nie powstał sam przez się, nie każdego jeszcze przekonywa o tem, że świat był stworzony przez Najwyższego Pana i Stwórcę. Najbardziej subtelne rozumowania na temat przyczynowości lub nieśmiertelności duszy rozbić się mogą o sensualizm, przewagę zmysłów, zanik uczuć religijnych.

„Napojeni pozytywizmem, skłonni jesteśmy do uznawania tylko świadectwa zmysłów i z tego powodu najmisterniejsze dowodzenia teologów giną dla nas wobec faktu, że nikt z nas nie widział ani Boga, ani wracającego z tamtego świata nieboszczyka — mówi Zdziechowski <sup>1)</sup>. Karol Secrétan się wyraził, że przyczynowość, jako dowód istnienia Stwórcy, wznosi nas ponad proch rzeczy ziemskich, ale dowodem w ścisłym znaczeniu tego wyrazu nie jest“.

Zdziechowski posuwa się do tego, że odsądza apologetykę od etykiety ścisłej naukowej, domaga się, by tę gałąź wiedzy teologicznej uprawiali nie tyle ludzie

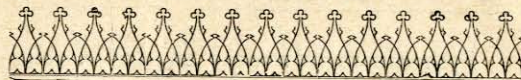
<sup>1)</sup> Szkice literackie str. 134.



uczeni, ile raczej święci, albo dążący do uświętobliwienia siebie. „W takim razie — powiada on — instynkt moralny wskaże szermierzom wiary drogę, którą kroczyć im należy, aby wpoić ludziom zasady religii, a piękno ich dusz rozjaśni ich dzieła blaskiem, który podwoi siłę dowodów rozumowych, nadając im urok życia i świeżości.

„Niech więc, odgraniczywszy sferę wiary od sfery nauki, wykaże apologetyka doskonałość i pełnię ukojenia, które nauka katolicka przynosi metafizycznym, moralnym i estetycznym żądzom duszy, ale przytem, zamiast wzniecać niechęci, zamiast potępiać i niszczyć tych którzy fałszywemi drogami pną się na wierzchołek góry, niech sama patrzy w słońce słońce „bystrzej niż orzeł“, jak Beatryx Dantego, i niech czeka aż światło jej czyste przykuje ku sobie dusze ludzkie, aż oczyszczone i wyzwolone z ziemi, siłą naturalnego ciężenia ku Bogu, wzniosą się za nią do góry, jak wznosił się wieszcz włoski do wyżyn wielkich tajemnic za promienną Beatryx, w której symbolizował teologię, wiedzę o Bogu, wiedzę rozumu, oświeconego łąską i objawieniem <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Zdziechowski, Szkice literackie str. 136.



### III.

A teraz nieco o fałszywej reformie.

Wspólną cechą fałszywych reformatorów jest racjonalizm. Naukę, wiedzę, kulturę uważają za przeznaczenie człowieka, szczyt piękności i potęgi Kościoła. Nie pamiętają oni, że jakkolwiek powyższe rzeczy są dobre, ale w prawdziwej reformie zajmować winne drugie miejsce; że katolik obok wiedzy przede wszystkim być winien czynnym wyznawcą swej religii, naginać pierwej serce ku cnocie, potem zaś rozum ku wiedzy. Sama wiara nasza więcej dotyczy serca, niż zimnego rozumu.

O tem też mówi Keppler <sup>1)</sup>: „Katolicy powinni w pierwszym stopniu imponować swoim przeciwnikom nietylko wiedzą, ale charakterem i cnotą. To najlepsza katolicka polityka; papierowy katolicyzm zajmuje drugie miejsce“.

<sup>1)</sup> Wahre und falsche Reform str. 22.

Tymczasem odwrotne są dzieje. Nauka — to sztandar, wzniesiony nad ludzkością, to schronisko dla rozbitków w życiu, pole popisu dla wybrańców losu, woda ocukrzona przy moralnej gangrenie. Dzisiaj miłość Boga zredukowana jest do etykietalnych wizyt, składanych Mu w kościele, miłość bliźniego przerozdziła się w altruizm i tańczącą filantropię, ale zato nauka, jak posążek Budy, odbiera niezliczone hołdy fanatycznych i ciasnych wyznawców. Przybrani w tęczowe pióra pseudonaukowości, oni przyjęli na się rolę naprawiaczy ludzkości, narzucając jej naukę, jako jedynie pewny postulat w życiu, filtr w rzeczach religii, światło wśród ciemności i wstecznicstwa.

Nauka i tylko nauka nie zadawalnia człowieka, nie w stanie ona sfabrykować to szczęście, do którego wszyscy wyciągają ramiona, wzdychają zawsze i wszędzie.

„Gdzież bo szczęście, woła Pietrow <sup>1)</sup>, obiecane przez naukę, szczęście wszystkich członków olbrzymiej rodziny, którą zwą ludzkością, gdzie tryumf miłości i prawdy, gdzie wszechludzki altruizm? Dlaczego nauka w parze z postępem materialnym nie umoralni ludzkość, nie wyrwie zła z korzeniem? Niestety, przeznaczenie jej jest inne, wobec demoralizacji

<sup>1)</sup> Ewangelia, jako podstawa życia, str. 23.

zacji nauka milczy. Ona może zetrzeć na miazgę olbrzymie skały, spłaszczyć góry metalu, ale nie zmiękczyć i skruszyć twarde, strupieszale serce człowieka. Wszystkie głośne wynalazki — chluba naszego wieku, jakże są małe i nikłe w świetle swego przeznaczenia. Celem ich — to coraz większe skrepowanie sił natury, zgromadzenie bogactw w ręku finansowych potentatów, powiększenie dobrobytu i zewnętrznego komfortu... Gdyby ludzie starożytnego świata, zagładając w przyszłość, mogli odtworzyć w wyobraźni to, co dziś wynalazła nauka, zapewneby nazwali nasze czasy wiekiem złotym, o którym marzyli poeci starożytności. Mimo jednak zdobyczy rozumu ludzkiego, ziemia obiecana naksztalt mirażu unosi się przed nami i ginie w obłoku. Ciemnota mas ludowych, nadmierne wyzysk pracy, nędza straszliwa obok miliardów, rozrzutności i próżniactwa — dają się odczuć nie w mniejszym stopniu w wieku pary i elektryczności, jak w czasach barbarzyństwa<sup>4</sup>.

Goethe wykazał w Fauscie nie tyle potęgę nauki, ile raczej jej niemoc w wyświetlaniu zagadnień bytu, w zaspokojeniu wyższych pragnień duszy.

Faust otwiera księgę Ewangelii i czyta: „Na początku było Słowo...“ To mu się nie podoba; następuje zmiana: — na początku była myśl<sup>4</sup>. Niepodobna je-

dnak z tem się zgodzić, by ten alchemik i nienasycony badacz-filozof miał się pisać na wszechpotęgę myśli. Wszak to jego wniosek:

„Weit besser hätt ich mein Weniges verprätzt,  
Als, mit dem Wenigen belastet hier zu schwi-  
[tzen!“<sup>1)</sup>

Mędrzec, zawiedziony w swych wygórowanych nadziejach, oparty na nauce, kiedy „z wszech szczytów szczyt, w głąb głębi ducha swego wtłoczył i zażył tego, co udziałem jest ludzkości łona“, — w końcu śmiało powiada:

Gotowy czuję się  
Przez nowy szlak eteru przeciąć tonie  
Do działalności czystej nowych sfer.

Nic dziwnego przeto, że „myśl“ zmienił na „czyn“. „Czyn był na początku“ — wykrzyknął z jakąś mocą, dziwną w tym egoiście. — W tem zdaniu komentatorowie Fausta, jak np. Hjalmar, Hjorth, Boyesen<sup>2)</sup> widzą uroczyste ogłoszenie bankructwa rozumu i wiedzy.

Sam Goethe mówi o sobie: (Wahrheit und Dichtung). „I ja również (jak Faust) poznałem wszystkie nauki i zbyt wczesnie poznałem ich niemoc“.

<sup>1)</sup> Toż lepiej było mi dobytek strwonić mój,  
Niż pod chudoby tej brzemieniem w znoju  
[padać!

<sup>2)</sup> Ein Kommentar zu Gaethe's Faust str. 43.

Nauka prawdziwa wszakże ma swoją niezaprzeczoną doniosłość i w życiu Kościoła odegrywa wybitną rolę. Jeżeli też dzisiaj zarzucają nam katolikom wierzącym, że nie odpowiadamy wymaganiom czasu i nauki, że nie zajmujemy przodującego stanowiska w życiu intelektualnym społeczeństwa, to w tem jest dużo prawdy.

Nie moim celem rozwodzić się nad znaczeniem i ważnością nauki, zaznaczam tylko, że pozostawiając ją na wyłączny użytek akatolików i postępowych, popełnimy krok fatalny w skutkach.

„Z dawien dawna — powiedział Wilhelm Wundt<sup>1)</sup> — tylko ograniczona wiedza, zadowolona sama z siebie, nienawidziła i pogardała religią“. Tak też i odwrotnie prawdziwa religia pogardzać i nienawidzić nauki nie może.

Moralność i cnota wszak wybornie się łączą z nauką, owszem, w wielu razach jedno bez drugiego istnieć nie może. Piękne wyznanie wiary złożył słynny francuski matematyk Cauchy<sup>2)</sup>. „Jestem chrześcianinem — powiada on — t. j. wierzę w boskość Chrystusa Pana,

<sup>1)</sup> Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej t. II str. 341.

<sup>2)</sup> Stimmen aus Maria Laach, 1903, 3 Heft, str. 290.

jak wierzyli Braye, Kopernik, Kartezjusz, Newton, Fermet, Leibnitz Pascal, Grimaldi, Euler, Guldin, Gedril, jak wielu głośnych astronomów, — jak wierzą ludzie wielcy z dziedziny fizyki i matematyki... Jestem katolikiem z przekonania, jakim byli Cornel, Rasmine, La Bruyère, Bossuet, Bourdaloue Fenelon, jak wielu z dziedziny nauki ścisłej, filozofii i literatury. Podzielał głębokie zasady, głoszone przez ludzi pierwszego rzędu, jak Ruffini, Hauy, Laënnec, Ampère, Pelletier, Freycinet, Cariolis...“ Niejeden z tych wielkich ludzi w życiu swoim godził wiarę i moralność z nauką, niejeden nawet naukę stawiał nieskończenie niżej od cnoty i religii.

Gdy jest mowa o nauce, muszę powiedzieć choć kilka słów o literaturze katolickiej i jej stanie obecnym.

Literatura naogół w wieku ubiegłym zrobiła pod każdym względem olbrzymi krok naprzód i nigdy pono nie wydała tyle okazji przeróżnej treści i wartości, jak w czasach obecnych. Nie piszę historyi, ani szkiców literackich, więc poprzestaną na powierzchownem twierdzeniu.

Literatura, powiadają — to zwierciadło czasu i ducha ludzkiego. W niej też się odbiły różne stadya nastroju ubiegłego wieku. Widzieliśmy kalejdesko-

pijną defiladę od skapanych w tęczowym świetle romantycznych tęsknot i marzeń, do naturalistycznie nagich obrazów pospólitego życia, do mgieł i manjaków mistycyzmu i okultyzmu.

Naturalizm wszakże w literaturze szczególnie przypadł do gustu zmaterializowanemu społeczeństwu, odnalazło bo tam swoje wierzenia i ideały.

Całe legiony autorów, od grubych talentów do handlarzy-literatów rozsiały zgubę moralną i zepsucie. Nie paradoks wyrzekł Jeske-Choiński (co mu się nie zawsze zdarza) kiedy wołał: „Począwszy od „Pani Bovary“ Flaubert'a, a skończywszy na najbliższem romansidzie ostatniorzędnej autorki, piszącej dla motłochu czytelniczego, wszędzie na pierwszym planie miłość płciowa, odarta świadomością z różowych zasłon fantazyi poetyckiej“<sup>1)</sup>.

Tłum nie rozumie literackiej wartości dzieła, nie odgadnie mgliście-moralnej idei, nie odczuje piękna stylu, głębokiej psychologii charakterów, wspaniałości kompozycji, ale zawsze lubować się będzie w pornograficznym obrazie, sensacyjnym opisie; szeroko rozlane błoto powoli wpłynie do duszy i pozostawi w niej bagno.

Wprawdzie u nas literatura polska ma mniej do zarzucenia i raczej grzeszy

<sup>1)</sup> Rozkład w życiu i literaturze, str. 203.

biernie, niż czynnie, ale i to jest prawdą, że my bardziej od kogo innego potrzebujemy literatury o charakterze wybitnie katolickim, o ideach i poglądach etycznie szlachetnych.

Przeglądając krocie tomów powieści doby obecnej, wytrawniejszy nieco czytelnik staje zdumiony, — *et la morale de la piece?*—pyta. Niestety, w chaotycznej nieraz gmatwaninie chorobliwych i bezmyślnych kreacyj naszej doby odgrzebać tę „morale“ nie każdy potrafi. U Reymonta np. w „Ziemi obiecanej“ idea główna jest w doskonałej harmonii ze zdumiewającą bezduszną bohatera i płytkością dramatu, obok zresztą po mistrzowsku odtworzonych epizodów — arcydzieł w swoim rodzaju. Żeniaczka i milionowa fortuna — to stereotypowy finał wszystkich prawie „odlewów“ fabryczki Rodziewiczówna i S-ka, u Estei jedynym tematem — flirt.

„Gdzież jest piękno, siła twórcza, życie?—woła rozpaczliwie Potocki <sup>1)</sup>. Zgoda już na egzotyzm — na odgrzebywanie fakirów, zwiedzanie jaskiń i t. d., niech tylko znajdę w tem niezdrowem majaczeniu choćby chorą duszę ludzką, niech tylko będzie oddanie się, wgłębienie w treść. Lecz gdzież na to siła w ptasim mózdzku i serduszkuz...“

<sup>1)</sup> Szkice i wrażenia literackie, str. 272.

Brak siły, brak uczuć w płytkich serduszkach na artystyczne odtworzenie wzniosłych ideałów piękna i prawdy, na wylanie szlachetnych porywów duszy.

Wprawdzie, taki Sienkiewicz się odznaczył, jako twórca ideałów katolickich, po nim kilku niższego rzędu, ale bądź co bądź to pole jeszcze całkiem leży odłogiem.

Tymczasem rozsiewają się wszędzie poglądy i zasady wrogie Kościołowi, odzierające z resztek uczuć szlachetnych, sącząc zwolna, ale stale jad rozkładu i zwyrodnienia; prasa peryodyczna, opancerzona mniemana, czy rzeczywistą wiedzą współczesną, miota strzały zatrute, pewna zwycięstwa, nienawykła do oponentów. „I taka propaganda pseudonaukowa niedowiarstwa — mówi ksiądz Niedziałkowski — rozchodzi się spokojnie w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, a z naszej strony cóż przeciwstawić możemy? Pięć albo sześć czasopismów katolickich, chodzących luzem, a piszących nieraz bardzo chwiejnie i niejasno, czasem jakiś artykuł, rzadziej jakąś dobrą książkę“, liczone, dodam, powieści o charakterze katolickim.

Na zachodzie, zwłaszcza w katolickich Niemczech wiele już się robi. Wytworzyła się prasa katolicka nie z imienia tylko; całe zastępy pisarzy duchow-

wnych i świeckich pchają naprzód zaniedbaną beletrystykę. Prawda, że dużo jeszcze trzeba, by się wyrobiła prawdziwie artystyczna powieść, by mogła w zupełności przeciwważyć akatolickim produkcjom literackim, ale jednak już się zjawiają perły takiej miary, jak powieści jezuita Colomy i belgijskiego estetyka Huysmans'a, świetnie się zapowiadających niemieckich powieściopisarzy Schotta i Cüppersa, autorek Braeckel i Herbert. Duchowni świeccy i zakonnicy nie gardzą bynajmniej literaturą i beletrystyką. Wielu skończonych teologów pisze w kwestyach literackich, że wymienię tylko słynnego apologetę Hettingera, znawcę Dantego, jezuitów Baumgartnera, autora olbrzymiej historii literatury, Kreitena, krytyka i autora cennych szkiców literackich, Gietmana, Wiesmana i t. d. Takich zaś, którzy w beletrystyce biorą czynny udział jest jeszcze więcej; z duchownych np. znany jest Bolanden z czasów kulturkampfu niemieckiego, autor niezliczonych powieści historycznych, Hansjakob, Alban Stolz, głośny pisarz powieści ludowych, jezuita Diel, Spillmann, Coloma, Hattler – świeckich zaś i policzyć trudno; wybitniejsi z nich — to: hrabina Hahn-Hahn, Laicus, de Waal, Jüngst, Huysmans, autor „En route“, Veillot, autor „Ça et là“, Laval, Buet, lady Fullerton, Manzoni, autor

„I promessi sposi“, stawianej obok najlepszych utworów literatury europejskiej, powieść o klasycznych liniach i świetnie dobranym kolorystyce.

Że u nas bardzo mało się robi pod tym względem — to, jak mówi katolicki krytyk Karol Muth<sup>1)</sup>: „przyczyna leży nie w braku talentów, ale przeważnie w naszym ciasnym, filisterskim stosunku do literatury. Ponieważ obszerniejsza znajomość beletrystyki i studia literatury dla wielu powierzchownych natur przynoszą sentymentalne wykoszlawienie, ponieważ też utwory ostatnich czasów na nieszczęście w wielu razach przynoszą truciznę bezkrytycznemu czytelnikowi, więc często tę literaturę się lekceważy, na poezję i prozę spogląda się przez pryzmat purytańskich zasad, ostatecznie dla tolerancyi stawia się na jednej linii ze sportem, grą i innymi rozrywkami“.

Dzisiaj folioły filozoficznych, teologicznych i innych dzieł mają nielicznych badaczy i czytelników; wspaniałe apoloogie Hettingera, Weissa, Schanza, Gutberleta, dzieła Treppela, Schwana, Stöckla i innych nowych, a tembardziej dawniejszych pisarzy katolickich, jakkolwiek bywają podziwiane nie tylko przez

<sup>1)</sup> Die litterarischen Aufgaben der Katholiken str. 101—2.

katolików, jako genialne objawy ducha ludzkiego, to jednak są niedostępne dla szerszego ogółu. Niezrównaną Summę Św. Tomasza wielu uwielbia, mało czyta, a jeszcze mniej rozumie. Tymczasem setki tysięcy przeróżnych powieści i romansów treści najrozmaitszej znajdują ogromne powodzenie; nowele, nowele, opowiadania, obrazki, szkice, historie — słowem dzieła i dziełka często wartości wątpliwej pochłania zgłodniała publiczność.

Mówią, że powieści okresu naturalistycznego zatrąły pół Francji, a powieści George Sand'a „nawracały“ protestantów. Znany publicysta Brunetier twierdzi, że najbardziej artystyczne utwory najczęściej mają w sobie pierwiastek niemoralny. Brandes podobno dowodził, że w Fauście widzi tylko zwykłą historię starego uwodziciela. Jak tam jest — mniejsza, ale to jest pewna, że znaczenie beletrystyki dzisiaj przybiera niebywałe kształty. Podług obliczeń statystycznych na 100 książek, branych z bibliotek publicznych przypada przeszło 80 tomów powieści; wiadomo także, że u nas obok Sienkiewicza, najpoczytniejszym autorem jest... Rodziewiczówna.

Liczba też utworów powieściowych przeszła wszelkie oczekiwania. Nie ma bo w czasie obecnym poglądów i przekonań, któreby się nie doczekały ram

artystycznych. Ba, nawet pozytywna wiedza i popularno - naukowe wykłady kursują w formie powieściowej. Wiktor Hugo się rozczulił nad losem więźniów skazanych na śmierć, napisał więc świetną apologię nietykalności życia ludzkiego w „Claude Gueux“ i „Ostatnim dniu skazanego“; Sue chciał zohydzić jezuitów, stworzył więc „Żyda tułacza“, Paul Feval — bronić, wystąpił z „Jésuites“. Zola w „Nana“ i wszystkich swoich prawie bez wyjątku powieściach wykazał najniższe instynkta rozbudzone w człowieku-zwierzęciu, Tołstoj w „Sonacie Kreutzera“ piękność życia czystego przeciwstawił erotycznej manii zachodu; baronowa Suttner przyjęła na się rolę głosicielki pokoju i rozbrojenia, Gorkij apoteozuje moczymordów ulicznych i bohaterów nocnych knajp; Bret-Harte opiewa przygody poszukiwaczy złota w Kalifornii, Konopnicka się roztkliwia nad niedolą siermiężnego ludu — słowem, każdy według celu i obranej idei pracuje w zawodzie artysty i rozsiewa swe poglądy wśród czytelniczego tłumu.

„Bo dziś poeta, powieściopisarz — mówi Jellenta <sup>1)</sup> — zagarnąć może, jeśli chce tyle ziem, ile ich wchodzi w jakikolwiek związek z uczuciem, może być socyologiem wyświetlającym nowe zjawiska

<sup>1)</sup> Wszechpoemat str. 12.

i rozwiązującym ciekawe zagadnienia, jak np. Zola w *Germinalu*, Edmund de Amicis w „*Na oceanie*“, Bret-Hart w nowelach kalifornijskich, Knut-Hamsun w „*Głodzie*“, Tołstoj w „*Sonacie Kreutzera*“, Orzeszkowa w „*Nad Niemnem*“ i t. d. Może być etnografem, jak Witkiewicz w „*Na Przełęczy*“ jak wszyscy powieściowi badacze nowych warstw, okolic i stosunków, psychologiem jak Goncourtowie i Garszyn, kosmogonistą, jak Edgar Poe, etykiem, jak Carlyle, Whitman lub Sully Prudhomme, historyzofem, jak Szekspir w dramatach dziejowych, metafizykiem, jak Schelley, wychowawcą, jak Rousseau i Hammerling. Na wszystkich tych polach może on siać i zbierać żniwo prędzej niż nawet nauka właściwa, taka powolna, ciężka, utykająca w swym wymęczonym pochodzie“.

To żniwo nigdzie jednak nie wyda tak obfitych i trwałych plonów, jak pod zasiew katolickiej literatury. Ona rzeczywiście może siać na wszystkich polach, zbierać ciężkie kłosa pszenicy, albo też... kąkol i zielska. Gatunek posiewu stanowi o plonach. Jeżeli się rozsiewa dzieła pisane z małym talentem a z jaskrawą, jak czapka jakobina, tendencją, z wywieszeniem etykiety, z której każdy już się domyśla chęci i zamiarów autora, do których to zamiarów autor

naciąga i podporządkowuje całość, chociażby kosztem logiki, psychologii charakterów, prawdy historycznej i etycznej — to oczywiście w rezultacie wystają chwasty i pokrzywy: niesmaczne moralizatorstwo, sztuczna maszynerya akcji, osoby jak z szopki wigilijnej, a wszystko to na tle krzykliwej i górującej tendencji.

Utwory takiej miary, jak „*Spójnik*“, „*Dwór i plebanja*“ i t. p., pisane zapewne z poczciwym zamiarem, ale też i z wielkim brakiem niezbędnych dla powieściopisarza atrybutów, nie przynoszą pożądanych skutków i giną w nawale nowych arcydzieł *sui generis*. A szkoda! Tematy bywają poruszane bardzo piękne i zawsze ciekawsze, niż dwie miłości w jednym sercu, lub romans dwóch komórek. Chęci są dobre, dusze szlachetne, myśl wzniosła, ale brak ekspesji artystycznej, brak poczucia piękna, siły twórczej! „U nas rej wodzi niemowlęctwo, które nic nie umiając, niczego się nie nauczyło, niczem nie nasiąkło, ciemne, jak tabaka w rogu, ślepe jak pisklę świeżo z jajka wyklute, wobec pulsu epoki i tysiąca palących zagadnień lub djabło ciekawych faktów — płodzi powieści i poezye. Z pustego chcą lać i leją też w rzeczy samej...“

Jeszcze jedno. Wiadomo, że ten tyl-



ko może odtworzyć należycie charakterystykę osób i miejsc, kto jest panem sytuacji, czyli innymi słowami: dla całości i prawdy niezbędną jest doskonała znajomość przedmiotu, jako dekoracyi i tła rozegrywanej akcji. Konopnicka tworzy bardzo piękne wierszyki swoje, precudnie umie wyśpiewać czary przyrody, ale kiedy przejdzie na mitologię i systemata greckie i wschodnie wpada w patos i nudzi. Toż samo daje się odczuć, kiedy się czyta na staje długie rozprawy o kosmopolityzmie Orzeszkowej, lub wylewy przesadnej, jak miłość w rymach Petrariki, melancholii Tetmajera.

Nieznajomość życia i ideałów katolickich także jest przeszkodą w ich odtwarzaniu; trudno opisywać życie księży, kiedy go się nie zna (Spójnik) — nie sposób wtedy się ustrzedz nienaturalności i przesady.

Pewien krytyk niemiecki słusznie zauważył, że wielkie talenta umieją wyminać ten kamień wymanierowanej przesady i widocznej tendencji, o który zawsze zawadza miernota. Dowodem owej wrodzonej subtelności umysłu służyć może Sienkiewicz w „Rodzinie Połanieckich“. Marynia Połaniecka niebezpiecznie zachorowuje, prosi więc o spowiedź. Z katolickiego punktu widzenia jest to rzecz całkiem naturalna. Że au-

tor ją uwzględnił, to nie znaczy, że chciał uniknąć zgorszenia maluczkich, natomiast przypomniał uroczyście wszystkim wiernym, że każda niewiasta chrześcijańska umierać winna zaopatrzona na drogę wieczności, ale poprostu dlatego, że tak wypadło ze względu na psychologię i pełnię charakterystyki bohaterki Piękna, choć naiwnie płytka, a wszechstronnie obmyślona postać Maryni nie miałaby wykończenia; myśleć i żyć rzeczywiście po katolicku, jak Połaniecka i umrzeć bez spowiedzi — to byłby fatalny błąd autora. Sienkiewicz go uniknął, jako katolik i prawdziwy artysta.

W innym znowu miejscu „Połanieckich“ słyszemy taki wniosek z ogólnej dyskusji i zestawień: wszystkie teorie dyabli wzięli, a msza — mszą pozostała (z czego, nawiasem mówiąc, ogromnie się gorszą nasi postępowi). To samo wprowadzie mówi i Bolanden, z tą jednak różnicą, że bierze on to lub podobne zdanie, jako założenie i na ten temat rozwodzi się na przestrzeni kilkutomowej powieści, usiłując przekonać czytelnika, że jest tak, a nie inaczej. U Sienkiewicza — to nie temat, nie wyrzucanie chorągiewki z zamanifestowaniem uczuć, ale wniosek duszy może nieświadomie korzącej się wobec niewidzialnej a tak widocznej potęgi Stwórcy, przekonanie

się o zmienności myśli ludzkiej, a wielkości tego, co powstało i trwa mocą Bożą.

I Sienkiewicz niekiedy (a jak chcą niektórzy — zawsze), kładzie pewną tęzę wyłączną, górującą, przystępuje do pracy z zamiarem, i wtedy to, trzeba się przyznać, następuje czasami dysharmonia między zamiarem autora, a jego własnym upodobaniem. W „Quo vadis“ autor zestawił dwa światy — pogański i chrześcijański, chciał wykazać nadziejską moc, dziewiczą świeżość i czystość rodzącego się chrystyanizmu, pod tchnieniem którego ustępują strupieszale, walczące się resztki klasycznej budowy pogańskiego świata, przy świetle pożogi, na tle drgającego w przedśmiertnych konwulsjach Rzymu, na tle cyprysowych ogrodów, wspaniałych termów, przerafinowania i zbytku. Taki był zamiar a stało się inaczej. Artysta zapanaował nad człowiekiem, osobiste sympatyje wzięły górę. Z pod pęzła jego wyszły takie postacie, jak Petroniusz i Eunice, otoczone słonecznym kręgiem poezyi i piękna, jak Neron, Chilon, Tygelinus, oddane z tak przedziwną plastyką, z tak wielkiem uczuciem i prawdą, jak może żadne z poprzednich arcydzieł galerii Sienkiewicza — a obok sąsiadują tuzinkowe figurki w półcieniu, zdawkowe sylwetki Ligii, Św. Piotra i Pawła. Pocz-

ciwy Winicjusz i nadobna Ligia... jakże mało są oni pierwszymi chrześcianami, owianymi nowem uczuciem, uczuciem wiary, bohaterstwem cnoty! A ci chrześcianie, traktowani epizodycznie, oschle i jakby od niechcenia...

Rozegrał się tedy zwykły dramat miłośny przy współudziale nakrochmalonych kaznodziei - apostołów, na końcu „maszynerya cudu w scenie z bykiem“, w perspektywie — mariaż, apoteoza — on niańczy dzieci i polewa w wolnych chwilach klomby anemonów i szafirowych irysów, ona smaży mu konfitury pod cieniem drzew migdałowych (jakby powiedział Potocki) — ot i wszystko. Chrystyanizm tyle na tem zyskał, ile i nic.

Ten zresztą rozdzwięk między rzeczywistością a zamiarem autora jest zjawiskiem nie całkiem wyjątkowem. Spotykamy go nawet u takich, jak Manzoni, Bourget, Coloma. U Manzoni'ego np. w „Naręczonych“ niezrównany typ lękliwego filistra—proboszcz Don Abondio ma w sobie więcej życia i psychologicznej prawdy niż trochę sztywny a świątobliwy kardynał Franciszek Boreusz.

Ale wróćmy do rzeczy. Sztuka piękna posiada bezcenny dar moralnego wpływu i posiada w stopniu bardzo wysokim. Ona budzi wyobraźnię, która

działa bezpośrednio na uczucie, chęć i czyn. Nauka krępuje pod tym względem człowieka, jedynie sztuka może go prowadzić dokąd zechce. Hipolit Taine nazywa największym arcydziełem sztuki to, w którym jest najwięcej czynników umoralniających. W takim więc razie najwięcej arcydzieł może wydać literatura katolicka, gdyż celem jej (jeśli naogół literatura może mieć jaki określony cel) umoralnienie i to w sposób nieznaczny, niewidzialny, przez wpływ twórczości prawdziwie artystycznej.

Tutaj się nasuwa stereotypowy zarzut, że dzieł o charakterze i poglądach katolickich, tembardziej pisanych przez księży, nikt ze świeckich nie czyta. „Bywa tak, bywa — odpowiada ksiądz Niedziałkowski — ale winni tu są nie sami tylko czytelnicy, lecz i piszący także. Zamało znają dobrych wzorów, zamało wiedzą, co się dzieje na świecie, zamało rozumieją swoich współczesnych, więc ich... nudzą 1)“.

„Od wielu beletrystycznych dzieł katolickich — powiada inny krytyk — wieje ten duch staroświeczyny, niepokonalnego dyletanctwa, który sprowadza znudzenie i ziewanie, ponieważ autorowie nie mają śmiałości zajrzeć w oczy życiu i prawdzie, nie mogą też jej oddać

1) Księża i nauka.

w żywych i barwnych kolorach: toby na nich ściągnęło zarzut zmodernizowanych; by więc uniknąć tego, wolą być trochę przestarzałymi i oczywiście nigdzie nie znajdują czytelników i wydawcy, lub miejsca na szpaltach pism 1)“

Skoro zaś utwór napisany będzie z poczuciem piękna i miary artystycznej, z zachowaniem wymagań literackich, niezawodnie znajdzie czytelników, — dowodem czego służyć mogą dzieła pisane przez księży i świeckich katolików. „Fabiola“ i „Kallista“ kardynałów Wisemana i Newmana są znane całej Europie, „Pequeneces“ hiszpana Colomy wytrzymało w niemieckiem tłumaczeniu w przeciągu 3 lat 13 wydań, „La bonne souffrance“ Coppée'go w jednym miesiącu 30, „Quo vadis“ w angielskim języku jednego roku rozeszło się przeszło 800,000 egzemplarzy, nawet nawskrość tendencyjne powieści Bolandena i Hahn-Hahn mają niesłychaną poczytność.

Wobec tego, wobec naglącej potrzeby chwili nie wolno być dezserterem i z tego pola literatury, bo mamy i tutaj wiele do zrobienia. Pokazać piękny ideał cnoty, życia wyższego, wznieść człowieka choć na chwilę ponad szarą rzeczywistość, naprawić spaczony poję-

1) Veremundus—Steht die Katolische Belletristik auf der Höhe der Zeit. str. 50.

cia, przeciwdziałać prądom bezmyślności i zepsucia — to cel i zadanie katolickiej literatury.

„Mamyż spokojnie milczeć, kiedy jest gwałtowna potrzeba mówienia?

Mamyż potwierdzać milczeniem to, co mówią nasi przeciwnicy, że katolicyzm, jako uosobienie wyższego światopoglądu, stracił swą siłę zaborczą, że dba teraz więcej o zatrzymanie tego, co posiada, dba o dobro duchowne tylko swych wyznawców, a porzucił tych, którzy ulegli prądowi czasu <sup>1)</sup>“.

Wracam do wykazania cech fałszywej reformy.

„Fałszywi reformatorowie nie są reformatorami ludu — nie chcą i nie mogą nimi być; ich troską, to wyłącznie inteligencji, oświeceni. Pewnik, że wiara jest jednakowa dla wszystkich, że uczeni winni wierzyć narówni z prostakami, wydaje się dla nich za twardy. Chcieliby tę gorzką pigułkę osłodzić syropem kultury, wiarę dziecięcą zamienić wiarą wyrozumowaną <sup>2)</sup>“.

Tymczasem środki i cel w tym razie są całkiem chybione. Oświeceni, jeśli potrzebują naginania wiary do swo-

<sup>1)</sup> Veremundus Ibid., str. 81.

<sup>2)</sup> Keepler — Die Wahre und falsche Reform str. 16.

ich poglądów, wreszcie do ducha czasu z takiej religii napewno nie skorzystają: straci ona dla nich swoją powagę i urok. Z drugiej jednak strony, czy Kościół może swoje prawdy odwieczne nagiąć do wymagań czasu, do chęci i widzimi się pojedynczych osobników? Kultura ma to do siebie, że jako rzecz wytworzona ulega zmianie i przekształceniom rozumianą też bywa w przeróżny sposób. Tegoczesna kultura za parę stuleci z pewnością ulegnie znacznej, jeśli nie całkowitej zmianie, jak uległa kultura z przed wieków. Niepodobna więc, żeby Kościół, jako rzecznik najwyższej kultury, bo od Boga, miał się stosować do zmiennych powiewów chwili.

„Zresztą, jak mówi Hertling, jakkolwiek banalny i pozbawiony zdrowego sensu jest zarzut, jakoby religia katolicka była przeszkodą do wysokiej kultury, synonimem ciemnoty, z drugiej jednak strony jest pewna, że miarą wartości religii nie jest wcale jej znaczenie w cywilizacyjnym postępie narodów“ — a to dla tej prostej racji, że kultura w pojęciu nowoczesnym nie jest celem i zadaniem Kościoła.

Dziś pod słowem „kultura“ rozumiemy najwyższy rozwój sił produkcyjnych, rozkwit wszystkiego, co ułatwia życie. Ale jeszcze stary Sokrates powiedział, że kultura, to wrodzona niestałość w

ustach czasu i narodów. Egipcianie ongi z ich piramidami i kanałami wyobrażali siebie na szczycie kultury, asyryjczycy i peruanie z Meksyku, chińczycy i indyanie ze wschodu, rzymianie w rozkwicie imperyi i arabowie w wiekach średnich — sądzą w tenże sposób. Dzisiaj ludy europejskie więcej mają słuszności mienić się stosunkowo wyższymi pod względem cywilizacji, ale punkt kulminacyjny, niestety, jeszcze ginie w obłokach. Tym punktem jest udoskonalenie samego człowieka, jego strony duchowej. W czasach obecnych zajęto się szczególnie i powiem, wyłącznie stroną zewnętrzną, i w tym też kierunku kultura wydała zdumiewające rezultaty, ale w każdym razie nie jest ona ogólnoludzką, lecz tylko pojedynczych gałęzi działalności ludzkiej, np. dróg komunikacji i dynamaszyny, kultura gliny w porcelanie sewerskiej, kamienia i marmuru w rzeźbach i posągach.

Wszystkie przeto dawniejsze i zaginione cywilizacje: egipska, asyryjsko-babilońska, grecko-rzymska, kultura inków i peruanów, obecne kultury chinczyków i indusów bez wątpienia stoją niżej od oglady zewnętrznej europejczyków, jeśli się jednak zważy te ludy na szali historii i etyki naturalnej, to nie można z taką pewnością twierdzić o przewadze ostatnich. Świeże, niestety, fakta aż

zbyt jaskrawo dowodzą wartości tej reklamowanej kultury i postępu. W rzeczy samej: czem są popisy anglików w Afryce, barbarzyństwa białych w Chinach, czego dowodzi słynna mowa Wilhelma do żołnierzy, wyruszających na Wschód, działalność Kitschnera, Chamberlaina, Bülowa, co dała wreszcie ludom barbarzyńskim kultura na ostrzu bagneta i z paszczy armat? Wątpię, czy są szczęśliwi egipcianie i obywatele Indyów z europejskim postępiem i bynajmniej nie ubolewam nad zaślepieniem abisyńczyków, którzy wycięli kulturtragerów angielskich, przybyłych z orężem w rękę <sup>1)</sup>

Tak więc cywilizacja nowoczesna nie wyczerpuje całkowicie należytego o niej pojęcia; nadaje polor i połysk zewnętrznym stronom życia, ale głębiej sięgnąć nie może.

Kościół przeto nie może iść dłoń w dłoń z dzisiejszym postępiem, ma bo do spełnienia wyższą misję, niż rozwój przemysłu, niż wyzyskanie sił natury i człowieka.

„Zadanie też katolików — powiada Ehrhard <sup>2)</sup> — sięga wyżej. Nie są oni

<sup>1)</sup> Kilka myśli powyższych zapożyczyłem z dzieła Pietrowa p. t. „Szkoła i życie“.

<sup>2)</sup> Der Katholicismus und das zwanzigste Jahrhundert, str. 394, 5.

powołani tylko do tego, aby być zwykłymi działaczami w życiu kulturalnym, do nich raczej należy to życie skierować wyżej, sprowadzić do tej miary, gdzie kwitnie czysty chrześcijański humanizm, a wykluczone są wszelkie egoistyczne prądy, nieprawda, niecnota, niesprawiedliwość, przeciwstawiając energicznie katolickie ideały prawdy, cnoty, sprawiedliwości i miłości. Do takiej pracy nie są zdolni zwolennicy nowoczesnej kultury z jej wrogiem stanowiskiem względem katolicyzmu, religii i Boga samego. Celem ich świadomym, czy nieświadomym jest raczej zamiana pierwiastka Bożego ludzkim, wywołanie największej dysharmonii, na jaką choruje dzisiejsza kultura, ślady czego są widoczne w bezwartości wewnętrznym czynników życia obecnego, w mylnym światopoglądzie mimo gorączkowej pracy naukowej, w ubóstwie myśli i niewolniczym naturalizmie w sztuce, w zewnętrznej próżni życia, obok przepychu zewnętrznego“.

Nie propaganda naukowa i szerzenie kultury jest pierwszym celem katolicyzmu i katolików, ale moralność, ale życie zgodne z zasadami wiary.

Jeszcze cechą znamioną dzisiejszych reformatorów jest, jak już nadmieniałem, zaniedbanie ludu. Chodzi im przede wszystkim o skaptowanie inteligentów za jakąkolwiek cenę — o motłoch mniejsza.

Tymczasem w ludzie jest zdrowy rdzeń; uczucia i wierzenia ludu, często naiwne, są stałe i niezachwiane; zachwiać je może tylko połowiczna oświata, bardziej jeszcze w kierunku liberalnym, bezwyznaniowym.

Lud więc powinien być przedmiotem szczególniejszej uwagi wszystkich, którzy chcą prawdziwej reformy. Wiara, religia jest podstawą i gruntem jego życia; by więc wiarę uczynić najbardziej zrozumiałą, usunąć przesady, powstałe skutkiem ciemnoty i religijnego fanatyzmu, połączyć życie moralne z religią, t. j., by to pierwsze miało bezpośredni stosunek z drugim, by ono wprost wpływało z pojęcia religijnego, — to już olbrzymi krok w drodze reformy.

Pewien ksiądz powiedział, i z tem się często spotkać można, że oświecenie się ludu stoi w stosunku odwrotnym do jego wierności względem Kościoła. Jest w tem nieco prawdy, ale tylko względnej; dać bowiem ludowi zdrową i silną podstawę wiary, raczej tę podstawę religijną wzmocnić, utrwalić, to znaczy stworzyć siłę niepokonalną. Na gruncie zaś jałowym rozrzucac ziarna nauki, oświaty, uświadamiania swojej indywidualności, znaczy zmarnować posiew, skazać na śmierć głodową. Wszelka połowiczna oświata jest straszna, jeśli się nie posiada fundamentów. Dom na piasku się

rozchwieje i przytłoczy mieszkańców. Wiadomo wszakże, czem są wszyscy nawpół oświeceni, a szczególnie czem jest lud, gdy mu się odbiera wiarę i Boga, pojąć go wzamian chimerycznymi doktrynami, które raczej ogłupić i spodlić, niż oświecić mogą. Frydryk II miał słuszną, kiedy powiedział, że nie chciałby wchodzić w stosunki z taką kanalią bez Boga. Rewolucya francuska wykazała dostatecznie, czem jest lud bez religii, z oświatą ciasną i tendencyjną. I Keppler mówi, że „przekształcić lud w masę oświeconych, to znaczy wydać nań wyrok zagłady: jego zdrowotność, naturalność, prostota i jędrność moralna zniknie bez śladu. Ludek nasz poczciwy, wierzący przekształci się w horde anarchistów. Socjalizm też dzisiejszy jest wytworem niedoszłych mędrków“.

Wszystko, co się wyżej powiedziało nie jest bynajmniej dowodem tego, że religia z oświatą nie może iść w parze, że religia cofa się przed nią, jak mrok przed ogniem. Religia się nie boi nauki, oświaty prawdziwej. Prawda najwyższa nie może być w sprzeczności z wiedzą, jeśli ta ostatnia nie rozminie się z prawdą. Ba, religia katolicka stoi wyżej ponad wszelką naukę, biorąc początek w nieogarnionej mądrości Stwórcy, jest ona dostępną dla umysłu dziecka, zarazem też rozszerza swe napo-

wietrzne kręgi daleko poza granice wszelkiej mądrości filozofia; nie potrzebuje ona tandeciarskiej reklamy i zachwalania, że się godzi na wszystkie zdobycze naukowe, że się zniża do wymagań kulturalnych, że sama nawet gotowa ciągnąć rydwan postępu i kultury. Z drugiej zaś strony Kościół nie potrzebuje dla swej obrony niedźwiedzich usług niewczesnych obrońców, fanatycznego ujadania, oszczerstwa, wymyślenia od idiotów tym, którzy nie trzymają się w zupełności zasad katolickich; idzie on prostą drogą do celu, rządząc się jedynie miłością, przebaczeniem, duchem Chrystusowym, głosząc zawsze prawdziwą reformę, bo reformę ducha, spaczonych poglądów, wykoszlawionych pojęć i stosunków.

Wspaniały przykład prawdziwego reformatora pozostawił Chrystus Pan. Jego szczególniejszą troską był lud, biedacy, dzieci; uczeni, możni tego świata często nie mieli doń przystępu dla pychy i wyniosłości; częściej obcował On z grzesznikami, nawracał lud, uzdrawiał chorych. Przed skazaniem na śmierć, stał u Heroda, jak skazaniec, zbrodniarz. Herod chciał od Niego cudu, czegoś nadzwyczajnego. Zdawało się, że była to pożądana chwila, by wykazać swą moc Bożą, upokorzyć pyszałków, nawrócić niewierzących i szyderczych dwora-

ków, a Heroda zgnieść i przerazić; a jednak Jezus milczy, woli raczej wdziać na siebie białą płachtę waryata i... milczeć.

Oto przykład dla dzisiejszych reformatorów. Oni gotowi uczynić cud kuglarstwa wobec ciekawej gawiedzi pseudouczonych, godząc na wszystkich punktach religię z wątpliwymi zdobyczami nauki, naciągając wiarę do wyników badań rozumu ludzkiego, pchając Kościół na stanowisko wymagań czasu — wszystko to niby w celu szlachetnym, w myśl Kościoła, a szczerze mówiąc dla własnej ambicji i próżności, wbrew polityce Chrystusa.

Kościół dziś jest zewsząd zagrożony, zewnątrz i wewnątrz. Stynny apologeta dominikanin Weiss, w swem ostatniem dziele «Die religiöse Gefahr» mówi: «Kościół jest w niebezpieczeństwie i to tak wielkiem, że jeżeli obecny stan rzeczy się nie zmieni, to następnego papieża powita on bolesnym okrzykiem: Religio depopulata! <sup>1)</sup> Niestety, jednak mówić należy nietyle o bezpośredniem niebezpieczeństwie dla Kościoła, ile raczej, że się wyrażę, niebezpieczeństwie religijnem, wyłaniającem się w ten czy inny sposób na gruncie wiary, na tle religijnem. Właściwe niebezpie-

<sup>1)</sup> Według proroctwa św. Malachjasza, Prymasa Irlandyi z wieku XI panowanie następcy Piusa X streścza się w symbolicznem — religio depopulata — Kościół wyludniony.

(Przyp. aut.)

czeństwo ducha czasu przyjęło na się maskę religii, przystroiło się w szaty kościelne».

Kościół się ostoi, kiedy nań spadnie zewsząd morze pocisków, wymierzanych otwarcie jawnie i świadomie, jak się ostał pod rozpędzoną falą barbarzyńców 4 wieku i niezliczone razy w jeszcze gorszych warunkach, ostoi się także wobec podziemnych knoń i zamachów ukrytych, wobec zalewu starszych i nowszych wyznań, niekiedy zdradliwie udrapowanych ideą katolicką, wobec ciżby pigmejczyków, broniących praw Kościoła byle jak i byle czem, — zgodzić się jednak trzeba, że niebezpieczeństwo ostatniego rodzaju: idee obce Kościołowi, a podawane są jako najczystsze ziarno katolickości, zasady Kościoła pojęte ciasno, po filistersku, a bronione bądź oszczerstwem, bądź insynuacją, czynem nieszlachetnym, w imię przewrotnej zasady celu przed środkiem — takie niebezpieczeństwo jest gorsze od wielu znanych i widocznych. Smutna ironia! Kościół się obawiać musi nie tyle rządów masońskich, ile raczej wszystkiego tego, co się zjawia skrycie, obłudnie, bezdarnie — niedźwiedzich usług fałszywych przyjaciół i wrogów w owczej skórce lojalności.

«Zdrada jest — mówi Weiss — oprzeć się na zasadzie, jaką dyktuje połowiczność i słaba wiara, jakoby w ciężkiej walce



z większą częścią świata musimy zadziwić go zewnętrznymi czynami, poprzestając jednocześnie na obronie warownych twierdz naszego terytorium. Cofanie się z zajętej placówki, układy z wrogiem, słuchanie jego rad i warunków pokoju, a pesymizm we własnej sprawie — to złamanie wierności, to nieposłuszeństwo wodzowi w krytycznej chwili». Zdradą więc jest wszelki czyn egoizmu i próżności, spełniony ku wrzecznej chwale Kościoła, wszelka chęć pogodzenia go z tem wszystkim, co się zasadniczo sprzeciwia duchowi katolicyzmu, z niektórymi objawami dzisiejszej kultury i umysłowego życia, z duchem czasu i ze światem, o którym Chrystus modląc się za wrogów, powiedział — non pro mundo rogo.

Ernest Hello w swych szkicach «L'homme» głęboko mówi: «Świat tak daleko się rozciąga, jak daleko sięga letnie powietrze. Tam, gdzie powietrze staje się ciepłe lub zimne, świat cofa się zgorzony. Przez ową letniość stwarza on sobie pozorny ład w swym nieładzie i pozorną czystość w swej nieczystości i wskutek tego we własnych swych oczach uznaje zgodność swej treści z etymologicznym znaczeniem wyrazów *mundus* i *kosmos*». Kościół symbolizujący w obecnym papieżu — *ignis ardens* — płomień gorejący, streszczenia swego ducha i zamiarów, jest w rażącej sprzecz-

ności z tą letniością, która cechuje świat. Pogodzić Kościół ze światem jest tak trudno, jak zimno z ciepłem, światło z ciemnością. „Świat ma opinię, nie ma ani miłości, ani nienawiści. Opinie świata wchodzą w układy z innymi opiniami tegoż świata. Czy są zgodne z sobą, czy też sprzeczne, niemniej przeto żyją w dobrem porozumieniu, zawsze bowiem jest pewien łącznik między nimi: głęboka choć umiarkowana letniość, nienawiść przeciw wspólnemu wrogowi — przeciw Prawdzie. Wszyscy bogowie znajdowali miejsce w Panteonie Rzymskim, za wyjątkiem prawdziwego Boga, wszystkie opinie znajdują miejsce w Panteonie świata, tylko Prawda jest zeń wykluczona“. Religia, jako zbiór Prawd najwyższych jest nienawidziana przez świat, nie uznający prawdy, nie może się przeto porozumieć z różnorodnymi a zmiennymi opiniami tegoż świata. Wchodzić więc w układy dla dopasowania prawd Kościoła do opinij świata, jest potworną zdradą.

Zdradą jest także wszelkie zachowanie się tylko bierne wobec potrzeb Kościoła. Kto nie buduje ten rozprasza — dziś z większą siłą powiedzieć można. Życie płynie naprzód wrzącym potokiem, Kościół postępuje dalej w swej misji cywilizacyjnej, wskazując świetlany ideał wszechludzkich pragnień, kto więc ma

zamiar iść z Kościołem, winien pragnąć czegoś więcej, niż spokoju, okupionego możliwymi ustępstwami. niż wegetacyi sytego filistra. Dziś wypełnienie przykazań Bożych i przepisów Kościoła nie zawsze wystarczy, nam trzeba czuć głębiej i więcej rozumieć. Wyczuć potrzeby i zamiary Kościoła, wsłuchać się w tętno jego serca, żyć jego życiem. My natomiast mamy formułkowość, zamiast życia, mamy konserwatystów z nawyknienia, trzymających się tylko zewnętrznych form i przepisów, mamy postępowców, nie rozumiejących ducha, a gardzących formą, mamy dobre chęci bez zasad i silnej woli, atrofię myśli i hipertrofię uczuć, plagę bigoteryi i fałszywej pobożności, — słowem, mamy tyle, ile potrzeba, by nieobjęty widnokrag Kościoła zredukować do pewnej sumy umówionych ogólników, obejmujących i formę i treść dzieła Bożego. Katolicyzm ze zdumiewającą swą wielkością, jaśniejący pięknem, że się wyrażę, absolutnem nie relatywnem (*claritas spiritualis*), u nas przyjął barwę lokalną — nasz swojski, tradycyjny, z ograniczonem kołem wpływu i działania, niemal ujęty w ciasne mury materialnego Kościoła.

De Maistre (jeśli się nie mylę) powiedział, że wielu ludzi nosi z sobą swój widnokrag. My mamy nasz wi-

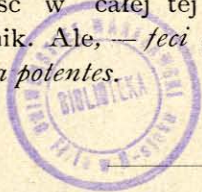
dnokrag, własny widnokrag, do którego dopasowujemy i Kościół, i wiarę, i zadania społeczne. Ciasne i błędne koło osobistych zapatrywań podajemy nieraz, jako naukę Kościoła, zaściankową etykę, jako ideał katolicyzmu — stąd szkoda widoczna. Jeden z licznie się nawracających anglików, powiedział: «Ja nie chcę wiedzieć, co mówi i myśli ten czy inny biskup, chociażby to był Ryle lub King, Carpenter lub Creighton, lecz co naucza i podaje Kościół». My zaś mówimy: u nas w Pińczowie... a u nas Lidzie... Stwarza się tedy i podaje taką naukę, jaką nie zawsze a probowano by w Rzymie. Pojedynczy biskup, lub setki proboszczów z wikarymi łącznie nie posiadają jeszcze nieomyślności w sądzie o rzeczach wiary; a u nas każdy czuje się w obowiązku wyrokować z koneserstwem i precyzją, nieznoszącą zaprzeczenia.

Zarzut opaczności i nieraz całkiem arbitralnego tłómaczenia zasad Kościoła — sędzę, nie jest niesłuszny. Jeśli też bezwiednie sam go na się ściągam, to z całą chęcią powtórzę słowa Hettintera w jego klasycznie pięknej i idealnie katolickiej apologii: „jeśli prawdę napisał, to w imieniu Kościoła, jeśli nieprawdę — to od siebie».

Reforma tedy się zakreśla stanem rzeczy. Reforma — straszne słowo dla

mydłków hyperkonserwatywnych — to nie wywracanie istniejących porządków (jeśli oczywiście są one dobre) nie wdzieranie się elementów obcych Kościołowi, lecz naprawianie już istniejących, ale nadwreżonych, wykoszlawionych. Co do środków, z pomiędzy innych szczególnie wyróżnić należy — wzmocnienie wiary czynnej, żywej. Weiss mówi: «Pierwszym, najpotężniejszym środkiem przeciw wszelkim niebezpieczeństwom, środkiem wszechśrodków, niezbędnym dla wszystkich, po wszystkie czasy, pierwszy warunek do prawdziwej reformy, jest odnowienie ducha, naśladowanie Chrystusa». Toż samo potwierdza papież Pius X, w swoich encyklikach.

Tę to wiązaną ulotnych myśli wysnułem zastanawiając się nad obecnym stanem rzeczy. Doceo, quod didici, non a me ipsa, sed ab illustribus Ecclesiae viris — jak powiedział św. Hieronim. Wiele pozostało jeszcze do roztrząsania, wiele dziś sam nie dostrzegam jeszcze, tem wytłómaczyć zechcę pewną chaotyczność w całej tej pracy pobłażliwy czytelnik. Ale, — *feci quod potui, faciant meliora potentes.*



50188  
51017

## OMYŁKI DRUKU.

	<i>zamiast:</i>	<i>powino być:</i>
12 str. 3 wiersz od góry	Rottenbergu	Rottenburgu
25 „ 5 „ od dołu	ostrzeżenie	obniżenie
32 „ 3 „ „	dwuch	dwóch
33 „ 1 „ od góry	na kształt	nakształt
39 „ 9 „ „	factura	factum
40 „ 7 „ „	wistocie	w istocie
77 „ 12 „ od dołu	ekspesyi	ekspresyi
82 „ 3 „ od góry	względem	względem
83 „ 10 „ od dołu	nawskrość	nawskroś
91 „ 2 „ od góry	filozofia	filozofa

